ŁUT SZCZĘŚCIA.

TEGOŻ AUTORA:

SŁAWNY CZŁOWIEK, powieść wyd. II.

WIOSNA, powieść.

MICHALIK z P. P. S., powieść.

MIŁOŚĆ, SZTUKA I PIENIĄDZE, nowelle.

NOWELLE.

TEATR

(Wydawnictwo Księgarni Polskiej B. Połonieckiego we Lwowie).

LEKKOMYŚLNA SIOSTRA, komedja w 4 aktach.

MAJOWE SŁOŃCE.

ASZANTKA, komedja w 3 aktach.

IDEALIŚCI, trzy fragmenty jednoaktowe.

WŁODZIMIERZ PERZYŃSKI

ŁUT SZCZĘŚCIA

POWIEŚĆ

WARSZAWA
NAKŁAD TOW. AKC. WYDAWNICZEGO
«ŚWIAT».

1913.

DRUK TOW. AKC. S. ORGELBRANDA S-ÓW

CZĘŚĆ I.

Powoli dzień się zaczynał robić. Łóżko Wrońskiego stało nawprost okna, tak, że usiadłszy na pościeli, mógł widzieć kawałek nieba i dachy domów po przeciwległej stronie ulicy. Na szczęście, okno nie było zasłonięte roletą. Na dachach bieliła się cieniuteńka warstwa śniegu, który spadł w nocy. Wroński otulił się kołdrą, ręce założył na tył głowy i zapatrzył się na niebo, okryte białemi, śniegowemi chmurami.

Niewypowiedziana jakaś radość przepełniała mu duszę. Aż go podrywało, aby się ubrać i wstać z łóżka. Ale bał się obudzić żonę. I zresztą co za sens zrywać się o świcie!... Lecz czuł, że już z powrotem nie zaśnie. Ocknął się rześki, podniecony i nudziło go to wyczekiwanie. Cichuteńko otworzył szufladę od szafki nocnej i sięgnął po zegarek. Przy łóżku było jeszcze tak ciemno, że nie

mógł dojrzeć godziny. Zapałki nie chciał zapalać.

— Będzie jakaś szósta—domyślał się po świetle.

I zdjęła go kapryśna, dziecinna trwoga przed temi dwiema godzinami conajmniej, które należało jeszcze przeczekać. Przytem odrazu uczuł wściekły głód. Podniósł głowę, nasłuchując, czy żona spała.

— Śpisz? — odezwał się po chwili półgłosem.

— Mówiłeś co?... — krzyknęła, zbudzona gwałtownie ze snu.

— Nie, nie, nie... śpij — odparł zawstydzony.

Uczuł rodzaj wyrzutów sumienia za to, że ją obudził, uświadamiając sobie ciężki trud, jaki ponosiła, pielęgnując go podczas choroby. Szereg obrazów przesunął mu się przez mózg.

„Przecież ona na dobrą sprawę przez te trzy tygodnie ani jednej nocy nie spała"—pomyślał—i ogarnęło go niewypowiedziane roztkliwienie.

— Zośka!

— Czego chcesz—odparła sennym, zniecierpliwionym głosem.

— Nic, nic — śpij.

Ta mu się to „Zośka" mimowoli samo z ust zerwało. Chciał jej poprostu podziękować, powiedzieć coś bardzo niewypowiedzia-

nie, nieskończenie serdecznego, tkliwego... Było to tak rzewne uczucie, że nawet mu się w myśli nie układało. Odpowiedź żony zwarzyła go trochę. Czuł, że ta uraza nie miała z jego strony najmniejszego sensu.

— Biedactwo—mruknął, usiłując się roztkliwić myślą o jej nieprzespanych nocach.

— A żeby cię dyabli wzięli!

— Co?

— Czegóż ty mnie budzisz bez potrzeby... Już teraz nie będę mogła usnąć z powrotem

Po chwili usnęła jednak. Wroński poznał to po jej równym, miarowym oddechu. Miał szaloną ochotę zapalić papierosa, ale papierośnica leżała daleko na stole. Przytknął twarz do poduszki, powtarzając, że najrozumniej będzie starać się jeszcze jakoś te dwie godziny przespać. W pokoju jednak z każdą chwilą robiło się coraz widniej i światło ostatecznie wybiło go ze snu.

Otulił się kołdrą, przymknął oczy i marzył... Mglista, jakby roztopiona w blaskach słońca wizya jakiegoś bajecznego sadu nad brzegiem morza przesunęła mu się przez duszę. Za parę dni to marzenie miało się stać rzeczywistością.

Jak w bajce.

Wszystko to, co zaszło w ostatnich tygodniach, było tak dziwne, fantastyczne, że nie do uwierzenia poprostu. Ten stryj, który go znać przedtem nie chciał i nagle wzruszo-

ny wiadomością o chorobie, zjawił się i dał mu pieniędzy na wyjazd... Co go tknęło u dyabła!—przemyśliwał wciąż Wroński, nie umiejąc sobie wytłomaczyć zagadki. Ze stryjem tym, księdzem, żyli w jaknajgorszych stosunkach, właściwie, nawet w żadnych, od lat nie widywali się ze sobą, gdyż ksiądz nie mógł mu darować jego bezbożności. Wroński zapomniał już nawet prawie, że miał wogóle jakiegoś stryja...

A najdziwniejsze było to, że ta choroba, którą w myślach uważał już za zupełne rozbicie i klęskę, wyzwoliła go właśnie z kłopotów, więcej nawet, dała mu to, o czem w zwykłych warunkach życiowych marzyć by nawet nie mógł: dwa miesiące niezależności i zupełnego wypoczynku, podróż na południe. Kiedy o tem myślał, zdejmował go mistyczny nieomal podziw dla niewytłomaczonych kaprysów losu. Zdawało się, że już wszystko szło do ruiny, tylko się powiesić... a to tymczasem była maskarada, tak szło przebrane do niego szczęście.

— Psiakrew...—mruknął z akcentem rozmarzenia w głosie.

Tak tylko umiał wyrazić swój podziw dla tajemnicy życia. W początkach choroby, kiedy już jednak pierwsze niebezpieczeństwo minęło i czuł się o tyle lepiej, że mógł zacząć mówić o interesach — a trzeba było zacząć o nich mówić jaknajprędzej, wpadł

w straszny gniew, dowiedziawszy się, że żona napisała od siebie list do stryja.—Tegoś mi mogła była zaoszczędzić!—wybuchnął. I był to szczery wybuch, gdyż uważał to za największe upokorzenie, jakie go mogło było w życiu spotkać. Zwracać się do tego starego durnia! Darować jej tego nie mógł. Pokłócili się najokropniej i przez dwa dni nie rozmawiali ze sobą.

Nagle najniespodziewaniej zjawia się stryj. Przyszedł rano koło dziesiątej. Służącej nie było w domu, Wrońska się ubierała, nie miał mu nawet kto otworzyć. Dzwonił i dzwonił. Sądzili, że to jaki wierzyciel, bo tak natarczywie nikt inny nigdy się do nich zresztą nie dobijał.

Wreszcie Wrońska poszła otworzyć drzwi. Po dwudniowych awanturach o list do stryja sama już była tym swoim wybrykiem do niemożliwości zgnębiona. Wydawało jej się, że naprawdę, idąc za pierwszym popędem troski i lęku, popełniła coś okropnego. Wroński zaciekawiony, kto to jednak dobijał się tak ostro od samego rana, uniósł się na łóżku, nasłuchując ciekawie. Drzwi były niedomknięte.

— Tu mieszka pan Wroński?

(Ostry, opryskliwy głos... odrazu jednak wydało mu się, że zna ten głos skądciś).

— Jakżeż on się miewa...

Potem znów jakiś szept niepochwytny. Wroński aż przysiadł na łóżku. Najwyraźniej

poznawał głos stryja, ale tak mu się to niepodobnem do wiary wydawało, aby stryj mógł się zjawić u niego, że wmawiał w siebie, iż mu się przesłyszało tylko. Był zły i zmieszany, nie wiedział, jak ma te odwiedziny przyjąć.

Księżyna wreszcie wtoczył się do pokoju. Stanął u progu i także się zmieszał. Widoczem było, że nie wie, od czego rozpocząć rozmowę.

Wreszcie chrząknął.

— Jakże ty się czujesz?

— Lepiej.

— A no, to dzięki Bogu.

— Dawno stryj przyjechał?

— Dzisiaj rano.

Było coś tak zabawnego w tym pierwszym momencie powitania, że Wroński, przypomiając go sobie, nie mógł się powstrzymać od śmiechu. Był sztywny, dumny, wytwornie grzeczny.

— Więc-eś ty się wychorował?

— A no, niewiele mi już brakowało.

— Ale teraz dobrze?

— Prawie...

Wroński parsknął śmiechem. Zagryzł usta, aby się nie śmiać głośno. Mina żony podczas tej rozmowy... Nie, to było coś niewypowiedzianego. Zośka zaczerwieniona, zmieszana, która raz po raz rzucała tylko na nich

obu lękliwe spojrzenia, jakgdyby drżąc przy każdem słowie...

— Któż cię leczył?

— Doktór Klein.

— Żydek.

— Nie, bardzo zdolny, młody lekarz... kolega Zośki.

Wroński czuje na sobie wściekłe spojrzenie żony. Potrzebnieś to gadał... Ale już lepiej się przyznać.

— Ja studyowałam przez pewien czas medycynę.

— Aa...

— Ale zarzuciłam — dodaje Zośka pośpiesznie.—Stryj u nas na obiedzie zostanie— zagaduje, chcąc zmienić temat rozmowy, który ma wszelkie dane na to, aby być drażliwym, ale stryja „medycyna“ zaciekawiła widocznie.

— I gdzież to?...

— Co?

— A no, te studya?

— Stryj nie może się jeszcze zdobyć na „ty“, ale unika „pani“. Wrońskiemu wstyd trochę jakiegoś wesołego przeczucia, które gdzieś tam ostrożnie wychyla się już w duszy.

— W Zurichu...

— Aa!...

Stryjowi ukradziono kiedyś walizkę na stacyi w Zurichu. W Szwajcaryi — a powiadają ludzie, że to taki uczciwy kraj. I ten

nieznany, daleki, tajemniczy złodziej ratuje sytuacyę. Stryj się ożywia. Wrońscy jednocześnie instynktownie odgadują, że trzeba z nim rozmawiać o jego podróżach. To już jest łatwe.—A we Włoszech stryj był?

— Właśnie wtedy z Watykanu wracałem.

I czas do obiadu schodzi niepostrzeżenie. Stryj się rozkrochmalił, topnieje jak wosk. Zośka przypadła mu najwidoczniej do upodobania. Wroński, przysłuchując się, jak rozmawiają w sąsiednim pokoju, uśmiecha się wesoło.

— Staruszek zaczyna z moją żoną flirtować...

ZNÓW ktoś dzwoni!

— To pewno Franek...

Wroński idzie do przedpokoju otworzyć drzwi. Ciemno. Pośliznął się o jakiś sznurek porzucony na podłodze i omało nie przewrócił.

— Ach nie, to koszule... Masz tam jakie drobne?

Powraca do pokoju uradowany. Te koszule, których nie odnoszono z pralni, od godziny już psuły mu humor. Wszystko przygotowane do drogi, ale bez koszul niepodobna walizki zamknąć. Wrońskiego wyczekiwanie denerwowało w najokropniejszy sposób, tembardziej, że tłumił je w sobie, bo siedział u nich właśnie Grzęski, który napewno zacząłby z niego podkpiwać.

— No to już wszystko...

Grzęski, który od kilku chwil siedział zamyślony, puszczając kółka z dymu, odzywa się nagle.

— W Wiedniu się zatrzymasz?

— Od pociągu do pociągu.

— Szkoda, warto miasto obejrzeć.

— Obejrzę za powrotem—mruczy Wroński dość opryskliwie, oglądając się nerwowo po pokoju. Czego ten Grzęski wlazł? Przyszedł się pożegnać i trzy godziny prawie już siedzi; przestali już rozmawiać, bo wyczerpali wszystkie tematy. Wroński z nienawiścią prawie spogląda na przyjaciela.

Parę minut ciszy. Grzęski jest czegoś zgnębiony i zasmucony. Powoli gasi papierosa, rozsmarowywując go na spodeczku dokoła filiżanki. Z westchnieniem zwraca się do Zośki.

— Szczęśliwy człowiek... jedzie.

Zośka odpowiada mu jakiemś niewyraźnem skrzywieniem ust, ale ostatecznie można to wziąść za uśmiech. I ona radaby już była, żeby przyjaciel wyniósł się raz do dyabła. Chciałaby o tem i o owem jeszcze spokojnie z mężem pomówić, a tu raz poraz ktoś dzwoni, ktoś włazi. Przecież Wacek nie wyjeżdża na koniec świata. Za sześć tygodni będzie z powrotem w Warszawie. Śmieszne są te pożegnania.

Wroński chwyta spojrzenie żony, w chwili, gdy Grzęski odwrócił głowę. Dają sobie znak oczami.

— Za drzwi wyprosić go niepodobna.

— Masz jeszcze mnóstwo czasu.

— Nie tak wiele...

— O której to pociąg odchodzi?

— O dziesiątej z minutami...

Mimowoli suche te odpowiedzi w ustach Wrońskiego przyjmują intonacyę obelg.

— Przepraszam cię.

Wychodzi do sąsiedniego pokoju, zamykając za sobą drzwi. Pociemku staje przy oknie i zapala papierosa. Przez zamgloną szybę ledwo widać ulicę, pada drobniuteńki deszczyk, światło latarni odbija się w kałużach wody, wszystko przesiąknięte wilgocią. Zupełnie tak samo, jak tego dnia, kiedy zachorował w biurze.

— Hm...

Teraz jest to już rozkoszny obraz. Wroński przytyka twarz do szyby. Przypomina sobie gorączkowe halucynacye, które snuły mu się po mózgu. Tak go to pochłania, że zapomina na moment o Grzęskim, o wyjeździe... A uciekł tu na papierosa, bo go Grzęski już tak denerwował, że jeszcze chwila, a byłby mu nawymyślał.

— Wacku...

— Co?

— Grzęski ucieka...

— Aa...

— Grzęski stoi przy stole wyprostowany. Czarny tużurek (wogóle nigdy nie chodzi inaczej) zapięty na wszystkie guziki. Jest trochę uroczysty.

— Odprowadziłbym cię na kolej.

— Ale pocóż masz łazić... taki deszcz...

Zaczynają się obcałowywać. Wrońskiemu odraza, jaką czuł jeszcze przed chwilą do przyjaciela, wyparowywuje nagle z duszy. Teraz on sam jest zlekka roztkliwiony. Poczciwy chłop ten Grzęski. Wroński czuje, że gdyby tak mógł, toby go wziął ze sobą na południe... Zafundowałby mu drogę.

— A napiszże choć z raz!—woła Grzęski z dołu, schodząc po schodach.

— Napiszę, napiszę...

— Co za piłat!

— Wroński nerwowo chwyta żonę za rękę.

— Daj spokój... może usłyszeć.

— Ale cóż znowu.

Wracają do pokoju. Wroński zamyka nareszcie walizkę, raz jeszcze sprawdza, czy ma wszystko w porządku: paszport, pieniądze. Nadrabia miną, ale jest wzruszony. Wogóle pierwszy raz w życiu wyjeżdża w dalszą podróż. Ale od dwóch tygodni tak już się myślą o wyjeździe cieszył, że ten ciągły stan uciechy zaczyna być wkońcu nużący. Ogarnia go nieokreślony denerwujący niepokój. Wie, że to jest już „trema“ przed wyjazdem. Dotychczas znał to uczucie tylko teoretycznie i przywykł uważać je za śmieszne. Ludzie, którzy dużo podróżują, nie miewają tremy. Pragnąłby się uważać w duszy za

człowieka oswojonego z wojażami. Siłą woli usiłuje więc zwalczyć niepokój, naumyślnie nie spogląda na zegarek. Wie, że ma jeszcze Bóg wie ile czasu przed sobą. Z domu na kolej pięć minut jazdy... na kupno biletu drugie pięć, no nie—dziesięć, bo może być tłok przy kasie... Jak wyjadą na kwadrans przed odejściem pociągu...

— Mówiłaś co?

Zamyślony nie dosłyszał słów żony.

— Napiszże odrazu do stryja, jak przyjedziesz.

— Napiszę, napiszę...

— I na stacyach uważaj, żeby cię gdzie nie okradli.

Wroński rzuca się niecierpliwie na krzesle. Od rana już mu to Zośka poraz setny powtarza. I wogóle co kto przyjdzie, daje mu rady, jak się ma zachowywać. Stanęło mu już to kością w gardle. Nie jest przecież dzieckiem i potrafi sobie dać radę.

Zośka zbliża się i pieszczotliwie głaszcze go ręką po twarzy.

— A zatelegrafuj odrazu.

Umówili się, że dwa razy będzie telegrafować z drogi, a pozatem z większych stacyi wysyłać karty.

— Szkoda, że nie razem jedziemy.

Wroński uśmiecha się niewyraźnie. Rzeczywiście, jest mu bardzo przykro, żę nie jadą razem, ale cieszy się, że jedzie sam. Hm...

Skoro nie można inaczej, to już najlepiej o tem nie myśleć,

— Która to godzina?

— Jeszcze czas.

Dwie godziny. Wroński przeciąga się na krześle, ziewa. Zośka spogląda na niego z uśmiechem.

— Denerwuje cię ten wyjazd.

— Ciekaw jestem.

— Cieszę się, że przynajmniej kawałek świata zobaczysz... Nigdyś nie wyjeżdżał.

Szczery ton żony roztkliwia Wrońskiego. Uderza go nagle: jaka Zośka ładna i świeża dzisiaj. Oczy jej błyszczą gorączkowem podnieceniem. Wroński zrywa się szybko z krzesła i zaczyna spacerować po pokoju. Raz i drugi spogląda na żonę. Wreszcie staje z tyłu za krzesłem, ujmuje ją za szyję, odchyla głowę w tył... Zośka poddaje mu się leniwie, prężąc piersi naprzód.

— Uh...

Aż im obojgu od tego pocałunku tchu zbrakło.

— No, daj spokój...—mruczy Zośka przeciągle, mrużąc oczy.

I po chwili parska krótkim, urywanym śmiechem.

— Franek tu lada moment powinien przyjść—krzyczy nagle.

— A wiesz, że oni nudni są z temi

wizytami—wybucha Wroński.—Cóż ja w podróż naokoło świata się wybieram...

— I jabym wolała, żeby nie przychodził. Wrońskiego wogóle denerwują te manifestacyjne pożegnania. Uważa, że wyjazd jego w kole przyjaciół i znajomych wywołuje zadużą sensacyę. Wielka rzecz, wyjeżdża, więc wyjeżdża. A w tym radosnym przyjacielskim podziwie jest coś upokarzającego. Siedzi chwilę nadąsany, ze zmarszczonemi brwiami. Ach, żeby to już do wagonu wsiadać. Ale jeszcze półtorej godziny. Co to z tym czasem zrobić?

— Zośka!

— Co?

— Znów mię zacznie nudzić... (Wszyscy są doświadczeni, wszyscy mu dają rady...). Nie otwierajmy mu poprostu.

— Hm...

Patrzą na siebie, jakby nie mogąc zdobyć się na postanowienie. A raczej jedno drugiemu chce pozostawić inicyatywę. Chwila ciszy, deszcz pobrzękuje po szybach. Wroński zapala papierosa, parę razy zaciąga się głęboko.

— Nie otwierajmy mu.

— Zobaczy światło w oknach.

— No to zgasić lampę.

— Pociemku będziemy siedzieli...

Już ciemno... I w chwilę potem słychać dzwonek. Przytuleni do siebie Wrońscy zanoszą się od śmiechu.

— Nie śmiej się tak głośno.

Wszystkie drzwi na przestrzał otwarte, może być w sieni słychać. A ten ktoś tam tajemniczy za drzwiami dobija się wytrwale. Dzwoni raz, drugi, trzeci... Wreszcie odchodzi. Zośce aż oczy zaszły łzami od śmiechu.

— Czegożeś ty tak się śmiała?

— Nie wiem, tak mnie napadło.

— Może on z podwórza widział światło w oknach—dodaje po chwili z lekkiem zaniepokojeniem w głosie. Możliwe to ostatecznie, bo przecież ledwo zgasili lampę, zaraz zaalarmował ich dzwonek.

— A, mniejsza o to.

Wroński ujmuje żonę wpół i tuli ją do siebie. Ale niepokoi go znów myśl, która może być godzina. No bo z tego wszystkiego spóźnić się na kolej...

— Rozśmieszył mię — mówi płaczliwym głosem.

— Zapal lampę.

Na dobrą sprawę trzeba się już zbierać. Lepiej o parę minut wcześniej na stacyę przyjechać. A za sześć tygodni...

— Zobaczysz, Zośka, jak ten czas zleci.

Ale Zośka ma niewyraźną minę. Widocznie na płacz jej się zbiera. I w ostatniej chwili okazało się, że trzeba jeszcze raz walizkę otwierać. Kołnierzyki zostały na komodzie. Teraz znów Wroński nie może z powrotem wszystkiego, tak jak było, porządnie ułożyć. W zdenerwowaniu rzeczy lecą mu z rąk.

— Ale bo też dyabli mi kazali...

— A ja jaj!—krzyczy nagle zafrasowany.

— Co takiego?

— Ten list miałem Frankowi oddać.

— To ja mu jutro odeślę...

— Można mu było otworzyć—dodaje po chwili Zośka z żartobliwym przekąsem.

Nareszcie wszystko spakowane nanowo. I ani chwili czasu niema już do stracenia.

WROŃSKI raz po raz wychylał się z okna, mrużył oczy przed wiatrem i z rozkoszą wciągał w siebie powietrze, pełne jakiejś niewypowiedzianie słodkiej, pachnącej świeżości. Pociąg biegł tuż nad morzem, w wagonach słychać było szum fal, któte rozbryzgiwały się o nadbrzeżne skały w śnieżny pył, tajemniczo bielejący w mroku. Ciemno już było zupełnie, tylko w oddali na samym skraju horyzontu czerwienił się jeszcze między niebem a morzem długi pas światła, niby mur, odgradzający ziemię od złotych krain słońca.

Był to już kres podróży. Pociąg zbliżał się do granicy francuskiej i za godzinę miał stanąć w Mentonie. Wroński niecierpliwie wyczekiwał już tego momentu, gdyż mimo całe rozkoszne podniecenie podróży, wkońcu zaczęło go już ogarniać znużenie. Kręcił się gorączkowo po przedziale od okna do okna,

jakby chcąc jednocześnie patrzeć na obie strony. Prócz niego w przedziale był tylko jeden podróżny, jakiś staruszek, który wciąż przypatrywał mu się uporczywie z nieokreślonym uśmiechem. Wroński miał ochotę wdać się z nim w rozmowę, ale nie wiedział, jak ją zacząć, zwłaszcza, że nie był pewnym swojej francuszczyzny. Staruszek podobał mu się, wyglądał na skromnego, poczciwego człowieczynę. Siwe wąsy i bokobrody nadawały jego twarzy złudne podobieństwo do cesarza Franciszka Józefa. Ubrany był w czarny żakiet i spodnie w kratkę, na głowie miał kapelusz z bronzowej słomy z szerokiem rondem. Hebanowa laska z dużą gałką z kości słoniowej i szare niciane rękawiczki dziwnie harmonizowały z całą jego postacią i strojem.

— Pan do Monte-Carlo jedzie?—zwrócił się nagle do Wrońskiego.

— Do Mentony.

Staruszek szybko przysunął się ku niemu, osłaniając ucho dłonią.

— Ja nie dosłyszę trochę.

— Do Mentony—powtórzył Wroński głośniej. I usunął się nieznacznie. Ruch staruszka wydał mu się podejrzanym. Przez całą drogę prześladowała go ciągła nerwowa obawa przed okradzeniem i zasadniczo niedowierzał nikomu. Ten lęk, nad którym nie mógł zapanować, psuł mu nawet trochę wrażenie podróży.

— Pan pierwszy raz w tych stronach?

— Pierwszy.

— Śliczny kraj — westchnął staruszek z jakąś niezrozumiałą dla Wrońskiego melancholią w głosie. Ale trzeba tu być ostrożnym... ostrożnym—powtórzył dobitnie, patrząc przenikliwie Wrońskiemu prosto w oczy. Spojrzenie jego było tak suggestywne, że Wrońskiego zdjął mimowolny niepokój.

— Czemu?

Staruszek oparł brodę na gałce od laski, okręcił ją kilka razy w palcach, jakgdyby świdrując sobie dziurę w kości i po chwili dopiero odparł smutnym głosem:

— Ilu tu ludzi rocznie życie sobie odbiera...

Wroński uśmiechnął się ironicznie. Zbyt dużo posiadał zmysłu krytycznego, aby wierzyć wszystkim tym romantycznym opowieściom o Monte-Carlo.—Dziwadło jakieś— uśmiechnął się w myśli pobłażliwie nad staruszkiem. I odezwał się trochę kpiącym tonem:

— Ech, czyż pan nie przesadza?

— Nie panie, nie przesadzam... Ja tu od lat mieszkam i wciąż patrzę na to... Tysiące ludzi się tu unieszczęśliwia.

— Przez grę.

— Przez to, że głupio grają.

— Jakto głupio?

— Głupio, poprostu głupio. Niema dwóch głupot na świecie, jest tylko jedna, ale na

wszystkich jej starczy — wybuchnął nagle zaperzony, wymachując rękami.

Wroński spojrzał na niego ze zdumieniem. O wszystko mógłby go był posądzać, tylko nie o taki wybuch temperamentu.

— A czyż można grać mądrze?—odezwał się z uśmiechem.

— Jakto, czy można?

Staruszek umilkł nagle, jakgdyby mu tchu zbrakło. Zdjął kapelusz, otarł pot z czoła staroświecką, kolorową chustką, i po chwili, wyciągając z bocznej kieszeni żakietu olbrzymi, wyładowany papierami pulares, zwrócił się do Wrońskiego.

— Niech pan spojrzy... To są wszystko listy od ludzi, którzy mnie zawdzięczają szczęście. Tu mam kilkanaście zaledwie, ale w domu całe archiwum, pełną szafę... Jakie pan chce narodowości: Anglicy, Niemcy, Francuzi, Turcy, Ormianie, Japończycy. Każdy z nich ma już dziś majątek i nie potrzebuje się o nic troszczyć. Byli i tacy, których od śmierci samobójczej uratowałem... Zaraz, może mam tu list—mruczał, przerzucając papiery w pularesie. Nie, ale w domu mam... Oto jest ciekawy list, niech pan posłucha, to aptekarz jeden do mnie pisze z południowej Szwecyi...

Stanął pod lampą, wyciągnął z kieszeni zielony futeralik, wyjął z niego okulary, przetarł je starannie chustką i założył na nos.

— Zna pan język angielski?—zwrócił się nagle do Wrońskiego.

— Nie.

— Szkoda, bo list jest pisany po angielsku. Otóż niech pan sobie wyobrazi, że ten człowiek, który to pisał, wyjechał z ojczyzny, jako nędzarz. Gorzej—wyjechał, żeby zginąć gdzieś na świecie, bo już nie miał najmniejszej chęci do życia. Straszne dramaty przechodził. Zwierzał mi się ze wszystkiego i powiem panu krótko: ja stary człowiek miałem łzy w oczach, kiedym go słuchał. Ręczę, że i na panu wywarłoby to głębokie wrażenie. Niestety, powtórzyć nie mogę, bo z zasady nie powtarzam niczyich zwierzeń. A może pan sobie wyobrazić, ile ich odbieram. Często przychodzą do mnie ludzie zrozpaczeni... Ratuj... Wtedy wszystko się mówi, — a najzabawniejsze to, że przychodzą i tacy, którzy przedtem niejednokrotnie odzywali się o mnie z ironią—ciągnął jednym tchem staruszek. — Stał przed Wrońskim pochylony nieco naprzód i wpatrywał się w niego, jak magnetyzer.

— Więcej panu powiem...

W tej samej chwili jednak pociąg zajechał na stacyę. Staruszek beznadziejnym ruchem rozłożył ręce.

— Ja tu wysiadam... Może się jeszcze kiedyś spotkamy... Gdyby pan zechciał kiedyś z moich rad skorzystać, służę—krzyknął, wty-

kając Wrońskiemu bilet wizytowy w rękę, i znikł w korytarzu.

Wroński spojrzał za nim z uśmiechem. Rozmowny staruszek nazywał się Eliasz Knox. Pod nazwiskiem były wydrukowane godziny przyjęć: od 9-ej do 12-ej i od 3-ej do 5-ej.

W pół godziny potem Wroński zajechał do Mentony. Rzeczy zostawił na dworcu, a sam puścił się piechotą na poszukiwania pensyonatu, który mu polecono w Warszawie. W pensyonacie tym mieszkała kiedyś pnnna Grzęska, siostra jego przyjaciela Grzęskiego. Był podobno dobry i tani. Oczywiście, najprościej było kazać się tam zawieźć odrazu. Ale w duszy Wrońskiego zbudziło się nagle niedowierzanie, czy można było polegać na zapewnieniach jakiejś panny Grzęskiej, która ostatecznie mogła się byle czem zadawalniać. Wogóle zaczynało się w nim budzić pewnego rodzaju lekceważenie dla wszystkich warszawskich znajomych i rad, jakie mu na wyjezdnem dawali.

Ale z odnalezieniem pensyonatu nie poszło mu tak łatwo, jak się spodziewał. Zaczepiał przechodniów, nikt jednak nie umiał go objaśnić, a raczej objaśniali go wszyscy, ale mówili tak prędko i niewyraźnie, że nie potrafił wyrazu od wyrazu rozróżnić. Wszystko zlewało mu się w uszach w jedno przeciągłe brzęczenie. Tymczasem ulice zaczynały już

pustoszeć powoli i wkońcu strach go zdjął, żeby się nie zapóźnić zabardzo. Napotkawszy jakąś małą kawiarenkę po drodze, wstąpił do niej, kazał sobie podać wina, i znów zaczął się przepytywać. Gospodarz, gruby Włoch ze zbójecką miną, zrozumiał wreszcie, o co mu chodziło. Gwizdnął przeciągle i z sąsiadującego z kawiarnią pokoju wybiegł zamorusany dzieciak.

— To dość daleko... On zaprowadzi pana.

— To syn pański?—dopytywał się Wroński z uśmiechem. — Chłopak podobał mu się, miał czarne błyszczące oczy i żywy był, jak iskra.

— Syn — odparł Włoch — i z przejęciem począł coś dzieciakowi tłomaczyć, gestykulując przytem gwałtownie.

Wyszli. Przewodnik Wrońskiego przybrał się na drogę w sportową czapkę, znacznie na niego zadużą, tak, że musiał ją przytrzymywać rękami, aby mu nie opadała na oczy. Ale widocznem było, że go to nakrycie głowy przejmowało dumą i zadowoleniem. Po chwili zapuścili się w jakiś ciemny zaułek, który oświetlała w oddali latarnia zawieszona na haku u ściany. Kiedy weszli w krąg światła, mały Włoch obejrzał się po za siebie i wykonał jakiś gest ręką. Wrońki również obejrzał się machinalnie. Wydało mu się, że w tyle o kilkanaście kroków za nimi czaił się

jakiś cień pod ścianą. Zdjął go nagły strach. Instynktownie podniósł rękę na piersi do kieszeni, w której miał pulares z pieniędzmi.

— Daleko?—krzyknął groźnie na chłopca. Malec roześmiał się wesoło.

— Nie, nie... nie... Już zaraz.

Uliczka urywała się nagle. Weszli na wąską ścieżkę między jakieś zarośla, które połyskiwały w mroku twardemi, jakby z blachy wykrojonemi liśćmi. Ciemno tak było dookoła, że Wroński ledwo dostrzegał sylwetę swego przewodnika. Oryentował się, że musieli już być gdzieś poza miastem. Szedł powoli, raz po raz oglądając się trwożnie w tył, gdyż wciąż prześladowało go to wrażenie, że ktoś skradał się za nim. Ze zdenerwowania zdjęła go nagle głucha złość na chłopca. Dopadł i chwycił go za ramię.

— Dokąd ty mnie prowadzisz? Gadaj!— krzyknął, wymachując laską w powietrzu.

— Już, już — pisnął dzieciak wystraszonym głosem.

W jasno oświetlonym przedsionku pensyonatu Wroński zawstydził się swego wybuchu. Zyskał na tem chłopiec, który otrzymał suty napiwek. Wroński zasiadł w wyplatanym fotelu, wyczekując nadejścia gospodyni. Obok na stoliku leżały jakieś książki. Sięgnął po pierwszą z brzegu. Był to stary zeszyt ilustrowanego miesięcznika angielskiego. Przeglądając dalej, natrafił na reklamową bro-

szurę „Messageries Maritimes“ z fotografiami chińskich i indyjskich krajobrazów. Zaimponowała mu ta literatura. Owionęło go tchnienie dalekich egzotycznych podróży.

We drzwiach ukazała się właścicielka pensyonatu, otyła, czarno ubrana dama, z wyrazem surowej powagi w oczach.

— Przepraszam pana, że tak długo kazałam mu czekać — odezwała się po francusku z wybitnym niemieckim akcentem.

Wroński przedstawił jej się, powołując się na pannę Grzęską.

— A jakże, pamiętam, pamiętam... Mademoiselle. Zakrztusiła się, nie mogąc wymówić nazwiska...

— Pokażę panu pokój, śliczny pokój... od rana do wieczora będzie pan miał słońce i widok na morze...

— Mieliśmy trochę deszczów w początkach grudnia, ale teraz już się pogoda ustaliła, na najlepszy czas pan trafił — objaśniała go gdy szli po schodach.

— Pańska znajoma mieszkała u mnie przed trzema laty.

— Tak.

— I teraz znajdzie pan u mnie rodaków.

— Kogo?—podchwycił ciekawie Wroński.

— Monsieur et madame Salcstein.

Weszli do pokoju. W blasku elektrycznego światła cienie mebli zarysowały się ostro na ścianach. Wrońskiego owionął piwniczny

chłód. Gospodyni zakrzątnęła się około balkonowego okna, otwierając zieloną skrzypiącą okiennicę.

— Niech pan spojrzy... Cap Martin — odezwała się, wskazując mu szereg świateł, połyskujących w dali. Cesarzowa Eugenia ma tam swoją willę.

Ale Wrońskiego bardziej zaciekawiała na razie cena niż zaszczytne sąsiedztwo. Przez dwa tygodnie przed wyjazdem Zośka kładła mu codziennie w uszy, aby nie unosił się fałszywym wstydem i o najmniejszą rzecz targował.

— Miała racyę — myślał — z nimi tu trzeba być kutym na cztery nogi.

I równocześnie zdjęło go roztkliwienie, bo wogóle był do roztkliwień skłonny.

— Poczciwa Zośka.

— A jaka cena? — zwrócił się wreszcie do gospodyni, która przypatrywała mu się z wyczekująco słodkim uśmiechem.

— Dziesięć franków.

— Dziesięć franków — powtórzył z wahaniem w głosie. Panna Grzęska mówiła mu o siedmiu. Cena ta wydała mu się stanowczo zbyt wygórowaną. W takim razie wszystko czem rozporządzał musiałby wydawać na życie, a to nie uśmiechało mu się bynajmniej.

Zapanowało krótkie a jednak uciążliwe milczenie. Z twarzy gospodyni znikł życzliwy uśmiech, została tylko surowa powaga.

— Mogę panu pokazać tańszy pokój — odezwała się po chwili — ale będzie od północy i bez widoku na morze.

— Wezmę ten — odparł nagle Wroński. Przyszło mu na myśl, że przecież mógł się po dwóch-trzech dniach wyprowadzić, rozejrzawszy się po Mentonie.

DZIESIĘĆ franków, ani grosza więcej... Wroński przyrzekł to sobie święcie, wchodząc do kasyna. Pierwsze wrażenie go zawiodło. Z tego, co słyszał, wyobrażał sobie ów osławiony dom gry znacznie wspanialej. Ani tłoku nie było takiego, jak mu mówiono, ani tragicznych typów graczy. Poprostu... wielki burżuazyjny salon, przeładowany złoceniami... Było to określenie do zapamiętania. Wroński uśmiechnął się ironicznie.

— Buda...

Założył ręce w kieszenie od spodni i chodził od stołu do stołu z marsem na twarzy. Stanowczo kasyno mu nie zaimponowało. A najdziwniejsze było to, że odrazu stracił ochotę do gry. „Burżuazyjny salon, przeładowany złoceniami"... Przez kilka chwil rozkoszował się tem spostrzeżeniem, wyobrażając sobie jakieś ożywione rozmowy po powrocie do Warszawy... (Ale ten Wroński ma bestya określenia...). I czuł potrzebę jeszcze jakiegoś

zjadliwszego aforyzmu. — Więc to jest przybytek, w którym nasza szlachta... nasza szlachta — to zdanie już jednak nie układało mu się gładko do końca. Wyrwały go z zadumy dźwięki polskiej mowy, jakieś gorączkowo rzucone:

— Idźcie, idźcie, ja tam zaraz przyjdę.

Uśmiechnął się zjadliwie:

— Ma się rozumieć, polaczkowie...

I machinalnie zatrzymał się przy jednym ze stołów. Dookoła pełno było ludzi, tak, że ledwie widział kawałek sukna. Na wszystkich twarzach znać było sztuczny, pełen nerwowego napięcia spokój.

— Manque... noir... — wpadło mu nagle w uszy i wszyscy poruszyli się odrazu, jak gdyby prąd elektryczny przeleciał po tłumie. Zerwał się szmer głosów. Wrońskiemu mignęły tylko w oczach długie grabki, któremi krupierzy zgarniali pieniądze. Usłyszał brzęk monet, rzucanych jedna na drugą. Sąsiadka jego, na którą w tej chwili dopiero zwrócił uwagę, młoda przystojna kobieta z podmalowanemi oczami posunęła się gwałtownie naprzód, roztrącając tych, co stali przed nią. Krupier podał jej niebieski tysiącfrankowy banknot i parę złotych monet.

— A to się obłowiła! — myślał Wroński, patrząc na nią z jakimś nieokreślonym podziwem.

Twarz młodej kobiety zmieniła się w jednej chwili. Rumieńce wystąpiły jej na po-

liczki, zdradzając gwałtownie tłumioną emocyę. Cofając się od stołu, trzymała wciąż rękę zlekka wyciągniętą przed siebie, tak, jak w chwili, gdy odbierała od krupiera pieniądze. Wroński zauważył, że palce drżały jej nerwowo. Ale odrazu znikła mu z oczu. Żywa ściana otaczająca stół zamknęła się z powrotem. Wroński posunął się o krok naprzód.

Znów pieniądze z cichym brzękiem sypały się na sukno. Wroński postanowił ostatecznie zaryzykować swoje dziesięć franków. Skoro z tym zamiarem przyszedł... Ale stał, czekając, aż się miejsce przy samym stole otworzy. Sąsiedzi jego rzucali pieniądze zdaleka, zachęcało go to, aby iść za ich przykładem, nie mógł się jednak jakoś zdecydować. Tyle się nasłuchał opowiadań o specyalnej kategoryi oszustów, którzy polowali przy stołach na zgarnianie cudzych stawek, że wszyscy dookoła wydawali mu się podejrzanymi.

— Rien ne va plus! — rozległ się głos krupiera. I znów odrazu cisza zapanowała przy stole. Z nowego swego miejsca Wroński mógł już doskonale widzieć ruletę.

— Teraz wyjdzie ósemka — myślał, i z gorączkowem zaciekawieniem śledził ruch gałki. W miarę jak traciła rozpęd i poczynała się zataczać między polami, ogarniało go coraz większe zdenerwowanie. Nagle drgnął i aż mu krew uderzyła do głowy. Zgadł doskonale. Wyszła rzeczywiście ósemka. Nikt nie grał

na ten numer — mogło się zdawać, że szczęście czekało właśnie na Wrońskiego.

— Psiakrew, że też nie postawiłem... Miał zupełnie takie wrażenie, jak gdyby go okradziono. Zdenerwowany wspiął się na palcach i rzucił pieniądze na stół. Tym razem postawił na jedenastkę. Uwagę jego zwróciła nagle mała pomarszczona staruszka, która siedziała w fotelu na rogu stołu. Pochyliła się nad zeszytem, który miała rozłożony przed sobą i czerwonym ołówkiem kreśliła jakieś kabalistyczne znaki na papierze.

— Głupia baba — pomyślał Wroński z nagłem rozdrażnieniem.

Trzy - czwarte grających notowało coś i pisało; obserwował to przy wszystkich stołach i zaczynało go to drażnić i niepokoić.

Przegrał.

— Zaryzykuję jeszcze dziesięć franków — zdecydował się momentalnie.

I znów przegrał. Robiło mu to już poważną różnicę. Rano tego dnia otrzymał list od żony, w którym mu pisała o kłopotach, o długach, zaklinała do oszczędności. A najgorsze ze wszystkiego było to, że część pieniędzy, jakie otrzymał od stryja na rekonwalescencyę, musiała iść na spłatę długów. Wroński wyjeżdżając wziął ze sobą tyle tylko, ile mu było potrzeba na podróż i pierwsze wydatki. Reszta została w domu i Zośka miała mu w miarę potrzeby nadsyłać. Liczyli

jednak, że to, co wziął powinno mu było na dwa tygodnie starczyć, tymczasem już po czterech dniach był prawie bez grosza. Zostawało mu zaledwie na zapłacenie pierwszego tygodniowego rachunku i sam nie wiedział, w jaki sposób pieniądze mu się rozeszły.

Wybrał się do Monte-Carlo z utajoną nadzieją w duszy, że uda mu się wygrać. W małym pensyonaciku, w którym mieszkał w Mentonie o niczem innem nie mówiono tylko o grze. Co dnia ktoś przynosił wiadomość do stołu, że jakiemuś szczęśliwcowi udało się wygrać milion, dwa miliony, trzy miliony i wysokość tych sum nie dziwiła nikogo. Dla Wrońskiego, który pojęciem miliona operował dotychczas tylko w tych razach gdy mówił albo myślał o rzeszach wyzyskiwanego ludu, było to jakąś rewelacyą zupełnie nowego stosunku człowieka do cyfr. A ponieważ pragnienia jego były skromne, sięgały zaledwie paru tysięcy franków, sądził więc, że to tajemnicze, niewidzialne szczęście, którego promieniowanie wyczuwał wciąż dookoła siebie, na tyle będzie na niego łaskawe.

Przeszedł salę, nawinęła mu się kanapa pod ścianą, usiadł na niej i zapatrzył się przed siebie rozgoryczonem spojrzeniem. Tu i owdzie w zagłębieniach sal ponad stołami paliły się już lampy. Rolety w oknach tłumiły blask słońca i w salach panowało dziwne, żółtawe światło, jak gdyby przesycone dusz-

nemi oparami złota. Raz po raz z jakiegoś kąta sali rozlegało się monotonne nawoływanie krupierów, zrywał się przelotny gwar głosów, to znów zapadała cisza tak głęboka, że słychać było warczenie rulety.

Wroński westchnął i przesunął dłonią po czole. Ogarnęło go bezdennie smutne, przytłaczające uczucie jakiegoś opuszczenia i upokorzenia. Tylu ludzi dookoła miało szczęście, a on nie. Zdjął go nagle lęk przed tym tłumem zimnym, układnym, grzecznym. Był to jakby moment jasnowidzenia, w którym wyczuł, jak tu wszyscy byli sobie dalecy i nienawistnie obcy. Wstał z kanapy i spokojnym krokiem skierował się ku wyjściu. Umyślnie starał się nawet o to, aby nadać twarzy wyraz tłumionego zadowolenia, aby tym, którzy na niego patrzyli, mogło się zdawać, że wychodził tryumfujący i szczęśliwy.

W przedsionku zatrzymał się machinalnie przed ekranem z telegramami agencyi Havasa i czytał rezultat wyborów prowincyonalnych w Anglji.

— Pan tu grać przyjechał? — usłyszał nagle za sobą wesoły głos.

Odwrócił się i ujrzał za sobą Salcsteinów, znajomych swoich z pensyonatu. Wroński dość stale dotrzymywał im towarzystwa, gdyż z nimi tylko mógł po polsku rozmawiać.

— Nie — odparł ze sztucznym uśmiechem.

Salcstein był niski, szczupły, łysy zupełnie z wielkim nosem i przystrzyżonymi po amerykańsku szpakowatymi wąsikami. Sięgał do ramienia zaledwie żonie, otyłej brunecie o banalnym typie wschodniej piękności.

— Nie skusiło pana jeszcze?

— I nie skusi mnie, może pan być pewien — odparł opryskliwie.

— A ja prawie dwa tysiące dziś wygrałem — odezwał się Salcstein, wspinając się zlekka na palcach.

— Nie może być! — krzyknął Wroński. W tej chwili spostrzegł dopiero, że Salcstein był trochę podniecony i zgorączkowany.

— Dwa tysiące? Teraz pan wygrał?

Wroński spojrzał na Salcsteinową. Po grubych, zmysłowych wargach pięknej brunety przewinął się tajemniczy, nawpół ironiczny uśmieszek. I to go odrazu usposobiło sceptycznie. Salcstein lubiał „kawały“. W pensyonacie przy stole starał się bawić całe towarzystwo swoimi dowcipami.

— Blaguje pan...

— Słowo panu daję... Zaczynam się odgrywać — dodał po chwili.

— Ach, to pan przedtem przegrał?

— Sześć tysięcy, w dwa dni — westchnął Salcstein.

Wroński spojrzał na niego z niedowierzaniem. Pensyonat, w którym mieszkali, był jednym z najtańszych w Mentonie i Salcstei-

nowie nie wyglądali mu na ludzi mogących takie sumy przegrywać.

— Zna pan polskie przysłowie... — zaczął Wroński i umilkł nagle. Salcsteinowa spojrzała na niego z najwidoczniejszą urazą w oczach.

Ale Salcstein roześmiał się wesoło:

— Ja nie jestem Wojtek i nie przegram.

I zmieniając nagle ton ciągnął poważniejszym głosem:

— Czy pan myśli, że jabym im przyniósł swoje pieniądze... Po co? Żeby książe miał za co jeszcze jedną rybkę sobie wyłowić?

Wroński wytrzeszczył na niego ze zdumieniem oczy.

— A jakżeż pan grał?

— Na pamięć. Stawiam sobie w myśli ostrożnie, tak jakbym grał naprawdę dwadzieścia franków na „impair“, potem czterdzieści na tuziny i czekam. Wyjdzie albo nie wyjdzie. Emocyę mam taką samą, a nic mnie nie kosztuje.

Wroński wzruszył ramionami. Nie był usposobiony do żartów. Salcsteinowie chcieli go zaprosić na herbatę, ale się wymówił, drażniło go ich towarzystwo, a zwłaszcza ciągłe dowcipy Salcsteina z których się musiał śmiać przez grzeczność. Wyszedł na plac przed kasynem, przystanął i począł się rozglądać, jakby poszukując kogoś. Poprzez zieleń i tęczowe girlandy kwiatów w ogrodzie mignęły

mu przed oczami szare, strome skały, zaróżowione słońcem. Dookoła czarno było od tłumów, orkiestra grała, automobile zwalniały biegu, zajeżdżając przed kasyno z urywanem, gorączkowem porykiwaniem syren. Machinalnie poszedł przed siebie. Ulica skręcała w dół i wiodła pod most kolejowy. Minąwszy go, znalazł się nagle nad morzem na ustronnym, prawie pustym bulwarze. Pod kamiennem podmurowaniem wybrzeża sterczały czarne, postrzępione skały; na jednej z nich, rzuconej na pełne morze o kilkadziesiąt kroków od brzegu, siedział jakiś człowiek z wędką w ręce. W blasku słońca morze wyglądało, jakby bezbrzeżne, uprawne pole, podzielone na kolorowe łany. Czasem fale układały się w jednolite jasno-zielone płaty, jakby szklane tafle, które prąd niósł do brzegu i ciskał z takim impetem o skały, że widać było tylko śnieżny miał, który rozbryzgiwał się w powietrzu.

Wroński usiadł na kamiennem podmurowaniu wybrzeża i zapalił papierosa. Zdjęło go obrzydzenie do życia a przedewszystkiem do siebie samego. Dookoła ludzie stawiali setki i tysiące franków, przegrywali je z uśmiechem a on po stracie dwudziestu franków już się musiał od stołu usunąć, już to było dla niego „katastrofą“. I ta jego nędza wydała mu się nagle obrzydliwą i upokarzającą, tak upokarzającą, że wezbrał w nim głuchy bunt.

— A nie — syknął przez zaciśnięte zęby, zrywając się na równe nogi.

Postanowił wrócić do kasyna i grać dalej do ostatniego grosza. Co będzie to będzie... Mógł ostatecznie każdej chwili do żony zatelegrafować.

W dwie minuty potem był znów przy stole. Postawił czterdzieści franków na numer— na ósemkę. Mimowoli odwrócił głowę i nagle napotkał się ze spojrzeniem owej staruszki, na którą zwrócił już był poprzednio uwagę. Przestała pisać i siedziała wyprostowana, bezmyślnie patrząc przed siebie. Oczy jej miały szklany, martwy wyraz i wogóle cała wywierała wrażenie raczej figury woskowej, niż żywej istoty.

— A wiedźma! — przeklął ją Wroński. Staruszka bezwiednie patrzyła wprost na niego. I to zimne, niesamowite spojrzenie przejmowało go denerwującą trwogą.

— Jeżeli nie przestanie na mnie patrzeć, przegram.

W sekundę miało się już rozstrzygnąć wszystko. Wroński przymrużył oczy. Po chwili usłyszał głos krupiera, ogłaszający wygranę... Tym razem wygrał.

OKTÓREJ odchodzi pierwszy pociąg do Nizzy?

Rozespany służący odparł, tłumiąc ziewanie:

— O szóstej jest już jeden.

Wroński zmarszczył brwi, jak gdyby namyślając się nad czemś. Ale zaraz obrzuciwszy przelotnem spojrzeniem pokój, odezwał się stanowczym tonem:

— Doskonale. W takim razie proszę mię o wpół do szóstej zbudzić.

Służący znikł w korytarzu. Wroński zamknął za nim drzwi na klucz i znów nieufnie rozejrzał się po pokoju. Hotel był drugorzędny i wydawał mu się mocno podejrzanym. Ale musiał nocować w nim z konieczności, gdyż w paru pierwszorzędnych, wielkich hotelach, do których się zgłaszał kolejno, nie było miejsc.

Zresztą nie miał zamiaru kłaść się spać. Był tak rozgorączkowany, że sen odbiegł go najzupełniej. Po wyjściu służącego stał przez

chwilę nieruchomo z nawpół przymkniętemi oczami, jakby odrętwiały. I nagle roześmiał się cicho.

— No... no...

Zbliżył się do stołu i począł rozkładać pieniądze, któremi miał wyładowane wszystkie kieszenie. Jeszcze nie przeliczył ich nawet i sam nie zdawał sobie dokładnie sprawy z sumy jaką posiadał. Około dziewięćdziesięciu tysięcy franków... Liczył nerwowo, wciąż odnajdując jeszcze po kieszeniach jakieś banknoty i sztuki złota, o których nie pamiętał. Banknoty były pomięte; chował je gorączkowo, byle mu tylko nie zawadzały na stole. Gładził je i wyprostowywał, układając oddzielnemi paczkami według wartości. Okazało się, gdy spokojniej przeliczył pieniądze, że miał ich więcej, niż przypuszczał. Dziewięćdziesiąt ośm tysięcy franków.

Nie zawiodła go ósemka. Wyszła, gdy postawił na nią ostatnie dziesięć franków, i od tej chwili szczęście poczęło mu dopisywać w zupełnie fantastyczny sposób.

Zapalił papierosa, wyciągnął się w krześle, przymknął oczy i marzył... Nareszcie był więc bogatym i niezależnym. Wygrana oszołomiła go najzupełniej, nie uświadamiał sobie nawet wartości sumy. To, co leżało przed nim na stole, było jakimś skarbem. W uszach miał wciąż jeszcze pełno rozkosznego, pieszczotliwego dzwonienia złota.

— Trzeba będzie jutro do Zośki zatelegrafować...

Parsknął krótkim, radosnym śmiechem. A więc sądzone było, aby telegrafował do niej. Postanowił sprowadzić ją na Rivierę... A przedewszystkiem przenieść się do Nizzy... Obrzydła mu Mentona i jego skromny pensyonat. Drgnął nagle, oglądając się niespokojnie. Wydało mu się, że w korytarzu przy drzwiach posłyszał jakiś podejrzany szmer, jak gdyby ktoś macał ręką po ścianie. Siedział chwilę nasłuchując z zapartym oddechem; szmer się nie powtórzył, więc oczywiście było to przywidzenie. Ale niemiłe uczucie trwogi już mu zapadło w duszę. Ogarnęło go to zaraz po wyjściu z kasyna. Początkowo miał zamiar wracać do Mentony automobilem, ale zdjął go strach przed napadem. Jazda po pustych drogach w nocy z nieznajomym szoferem nie wydawała mu się bezpieczną. Nie mógł się oprzeć maniackiemu przywidzeniu, że na wygranę jego w kasynie zwrócono uwagę i że tam już dwóch jakichś mężczyzn chodziło za nim od stołu do stołu, jak gdyby go śledząc...

Podniósł się z krzesła i rozpoczął szczegółową inspekcyę pokoju. Zajrzał do szafy, pod łóżko, zbadał zamek przy drzwiach i dostrzegłszy niewielką zasówkę, której w pierwszej chwili nie zauważył, gdyż była zasmarowana lakierem, zamknął na nią drzwi jesz-

cze. Przed lustrem na kominku stały dwa ciężkie kandelabry; przyszło mu na myśl, że mogłyby mu były służyć za broń wrazie jakiegokolwiek napadu.

— Jakbym tem w łeb gruchnął, tobym roztrzaskał przecież — myślał, ujmując jeden z nich i unosząc do góry.

To go uspokoiło. Wrócił do stołu i znów wyciągnął się na krześle. Sala gry zamajaczyła mu przed oczami w jakiemś dziwnem szarem półświetle. Postawił na ósemkę cały stos złota. Poukładał dwudziestofrankówki jedną na drugiej tak, że utworzyły w końcu jakby wysoką złotą świecę. Sąsiedzi jego nie mogli wyjść z podziwu, że mu się pieniądze tak trzymały, wreszcie zaczęli przestrzegać... Przewróci się, przewróci się... Ale on z zapartym oddechem, ostrożnie, z uczuciem podobnem do tego, z jakiem dzieci ustawiają domki z kart, wciąż dokładał dwudziestofrankówki. Złota świeca wyrosła wreszcie ponad głowy wszystkich przy stole i nagle na czubku jej zabłysnął niewielki złoty płomyk. Uczucie niewypowiedzianej zawrotnej radości przeleciało mu przez duszę. Wygram, teraz wygram... Gorączkowo pochylił się nad stołem. Krupier mówił właśnie „Rien ne va plus“ i wyciągnął już rękę do rzutu.

Ale w tej samej chwili niebieski płomyk zagasł nagle. Przejęło go to straszną trwogą. Z rozpaczliwym pośpiechem wyciągnął z kie-

szeni pudełko zapałek, aby nanowo zapalić złotą świecę. Ale zapałki nie chciały mu się palić, gasły jedna po drugiej z cichym, złowrogim trzaskiem. Tchu mu nagle zabrakło, zatoczył się, jak pijany, dzika, granicząca z obłędem, rozpacz rozsadzała mu mózg. Czuł, że jeśli nie zdąży nanowo zapalić świecy, wszystko przegra. A gałka rulety oblatywała już pola z monotonnym, głuchym szelestem. Chciał krzyczeć, ale głos mu uwiązł w gardle. I nagle dostrzegł, że ósemka wyprostowała się w swojej przegródce. Chwilę stała nieruchoma, sztywna, aż nagle poczęła się chwiać i słaniać. Wtedy aż zawył z rozpaczy: „Umiera, umiera“ — i rzucił się naprzód, aby ją podtrzymywać.

Ocknął się mokry od potu. W tej samej chwili służący pukał do drzwi.

— Wpół do szóstej.

— Dobrze, dobrze, słyszę! — odkrzyknął, zrywając się na równe nogi. Zaświecił elektryczność; na dworze była jeszcze noc, okno czarną plamą odcinało się od jednolicie oświetlonych ścian. Sięgnął do kieszeni od palta, przeliczył wzrokiem porozkładane na stole pieniądze. Wszystko było w porządku.

— Aa — westchnął, przeciągając się z nerwowem drżeniem. Był cały obolały z tego snu w ubraniu i w palcie na krzesełku.

Zeszedł na dół, przytrzymując rękami kieszenie od palta, które miał tak powyłado-

wywane złotem, że przy najlżejszym nieostrożnym ruchu mogło mu się z kieszeni wysypywać. W żyrandolu elektrycznym w przedsionku paliła się tylko jedna lampka, rozsiewając mdłe, żółtawe światło. Przez otwarte szeroko drzwi Wroński dostrzegł na ulicy omnibus z opartą o dach drabinką. Rozespany portyer w kusej czarnej marynarce i liberyjnej czapce na głowie stał we drzwiach, wyglądając na ulicę.

— Ach, to macie omnibus na kolej — zagadnął go Wroński z akcentem miłego zdziwienia w głosie.

Portyer spojrzał na niego, jakby urażony tem pytaniem.

— A czemżebyśmy gości wozili.

— To na pociąg do Nizzy?

— Tak.

— A dużo jeszcze czasu?

— Zaraz jedziemy.

— Ostrożnie! — krzyknął, usuwając się w bok i chwytając Wrońskiego za łokieć. Dwóch służących w zielonych fartuchach znosiło wielki, ciężki kufer. Za nimi ukazał się jakiś staruszek w podróżnym kostyumie angielskim. Portyer podbiegł szybko ku niemu, uchylając czapki.

— Pan baron ma jeszcze mnóstwo czasu.

Wrońskiego uraziła ta widoczna różnica w tonie, jakim portyer rozmawiał z nim i ze staruszkiem. Z pogardą spojrzał na „barona“,

który zajeżdżał do tak marnego hotelu. Wyszedł przed dom i rozejrzał się po ulicy. Niebo szarzało już, domy wyłaniały się z mroku. We dwóch z rzekomym „baronem“ (Wroński nie dowierzał autentyczności tytułu) wsiedli do hotelowego omnibusu. Portyer, który zdążył przebrać się tymczasem w liberyjny tużurek, co mu odrazu nadało pełen spokojnej godności wygląd, zatrzasnął drzwiczki. Powóz ruszył, trzęsąc się i podskakując. Wroński nerwowo trzymał się za kieszenie; pieniądze, któremi był obładowany krępowały mu najzupełniej swobodę ruchów, nie mógł nawet usiąść wygodnie. Nieokreślone szaro-niebieskie światło przenikało już do wnętrza omnibusu. Baron, starannie ogolony z błyszczącą po świeżem umyciu cerą i lekko zaczerwienionemi niewyspanemi oczami przyglądał się Wrońskiemu z jakimś szczególnym uśmiechem, jakby mając chęć nawiązania rozmowy.

I nagle zwrócił się do niego:

— Ale pan miał wczoraj szczęście.

Wroński spojrzał ze zdumieniem na staruszka.

— Obserwowałem pana w kasynie.

— Aa...

— Ma pan racyę, że pan stąd ucieka — ciągnął baron przyjacielskim tonem. Bo to najtrudniejsza rzecz. Znacznie łatwiej jest wygrać, niż wyjechać.

Wroński uśmiechnął się ironicznie. Przemknęło mu przez myśl, że jeszcze łatwiej jest dać dobrą radę, niż wygrać.

— A pan grał? — zagadnął swego towarzysza.

— Nie.

— Szkoda, trzeba było stawiać za moim przykładem. Byłby pan wygrał.

Powiedział to tonem żartobliwego wyrzutu, jak gdyby dziwiąc się, że ktoś nie chciał korzystać z jego wspaniałomyślnej protekcyi wobec szczęścia.

— Może by nam dwom szczęście nie chciało służyć?

— Czy pan wierzy w to naprawdę?

Baron nie zdążył mu już na to pytanie odpowiedzieć, gdyż omnibus zajechał przed stacyę. Do nadejścia pociągu pozostawało jeszcze parę minut. Wroński wyszedł na peron. Świt był chmurny, ciepły, morze lekko wzburzone mieniło się stalowymi połyskami. Z boku cypel Monaco rysował się na szaroniebieskiem tle powietrznej przestrzeni wyrazistym czarnym konturem. Parę jachtów i czółen, rozsianych po zatoce kołysało się rytmicznie pod uderzeniami fal. Miasto w dole spało jeszcze, puste ulice, poznaczone złotawemi centkami jakichciś topniejących w blasku dnia światełek, miały w sobie tajemniczość jakby miasta z bajki.

— Bogaty jestem... — myślał Wroński. Dzwoniły mu te słowa w duszy pieszczotliwie, słodko, jak złoto.

MIAŁA pani list od męża?

— Nie jeszcze.

— Jakto, po tej karcie, o której mi pani wspominała, ani słowa nie napisał?

— Ani słowa.

— I pani to tak spokojnie mówi?

— Widzi pan, jaka niedobra żona ze mnie uśmiechnęła się Wrońska. — Szła z Grzęskim, który ją spotkał na ulicy i odprowadzał do domu. Od paru dni powtarzało się to regularnie. Wrońska powracając z lekcyi wciąż spotykała Grzęskiego. Oczywiście, nie był to już przypadek tylko... Grzęski zdecydowanie zaczynał z nią flirtować. Dla Wrońskiej była to wprost niesłychana rewelacya. Grzęski, poczciwy i poważny Grzęski w tej zdradzieckiej roli czyhającego na jej cnotę uwodziciela wydawał jej się niewypowiedzianie śmiesznym.

— A gdyby pan był żonaty i wyjechał, pisywałby pan często do żony?

— Codziennie.

— Żałuję tej pańskiej przyszłej.

Grzęski w nowej swej roli starał się być wesołym, błyskotliwym, dowcipnym. Ale ponieważ miał umysł ciężki trochę i raczej skłonny do poważnych zagadnień, więc niebardzo mu się to udawało. Rozmowę przy spotkaniu zaczynał niezmiennie od dopytywania się czy Wrońska miała list od męża. Mogło się zdawać, że jemu bardziej zależało na tych listach, niż jej.

Był jasny, mroźny, rozkosznie podniecający dzień, drobniuteńkie pyłki śniegu wirowały w powietrzu. Grzęski po chwili milczenia — flirt jego nie mógł się niestety obyć bez takich pauz — odezwał się znów patetycznie żartobliwym tonem.

— Więc pani nie tęskni za mężem?

Tym razem Wrońska nie mogła się już powstrzymać od śmiechu. Grzęski był ich szczerym przyjacielem, wtajemniczonym we wszystkie kłopoty domowe, jako prawnik z zawodu (z powołania był dyletantem, jak się sam nazywał), udzielał im nieraz fachowych rad w przykrych i kłopotliwych zatargach z wierzycielami. Wrońska o wszystko mogła go była posądzać, tylko nie o niecne względem niej zamiary. Widocznie jednak w poczciwej, z gruntu etycznej i uspołecznionej duszy Grzęskiego kryło się jakieś zapalne ognisko zepsucia. I zapalenie objawiało się charakte-

rystycznymi symptomatami. Grzęski nietylko codziennie Wrońską spotykał, ale golił się systematycznie i nosił kosztowny atłasowy krawat. W takim stanie już tylko jeden krok dzieli człowieka od monoklu i amerykańskiego strzyżenia wąsów.

Wrońską tak to bawiło, że w domu myśląc o Grzęskim dostawała istnych paroksyzmów śmiechu. Bo też trudno było sobie wyobrazić niepozorniejszą istotę ludzką, niż Grzęski. Był on typowym przedstawicielem tej najrozpaczliwszej klasy ludzi, która się nazywa inteligentnym proletaryatem i, nie posiadając pewnej żywiołowej dzikości prawdziwego proletaryatu, parodyuje w sposobie myślenia i czucia literackie pojęcia niezależności. Wrońska nie zastanawiała się nad psychologią Grzęskiego, śmieszyło ją to tylko, że człowiek tak karykaturalnie niepozorny mógł myśleć o flirtach (mówi się, flirt...) z żoną przyjaciela i to w tydzień po wyjeździe przyjaciela. Ta jego pewna przewrotność w zestawieniu z brakiem urody a raczej nawet nie urody w klasycznem znaczeniu, ale nieokreślonego męskiego wzięcia — była również tylko wysoce komiczna. Wrońska sama była bardzo przystojna. Źle ubrana, zabiedzona, ale czuła swoją urodę i instynktownie zdawała sobie sprawę, ze swych może najniższego gatunku, ale powszechnie cenionych jeszcze w świecie wartości kobiecych... Doszli do

domu, w którym mieszkali Wrońscy. Grzęski przed bramą na pożegnanie mocno pocałował Wrońską w rękę.

— Niechżeż mnie pan kiedy odwiedzi.

— Kiedy?

Spojrzał na nią pytająco i wypowiedział to takim tonem, jak gdyby chodziło o schadzkę.

— Któregokolwiek dnia — odparła zimno, zmieniając nagle ton Wrońska — i niecierpliwie cofnęła rękę, którą Grzęski przytrzymywał zbyt długo. To jej się nie podobało...

Grzęski wyczuł jej ruch i zmieszał się trochę. Odezwał się szybko:

— Gdyby Wacek tak tam jeszcze z milion wygrał...

— Rzeczywiście... — odparła z ironicznym przekąsem.

Ogarnął ją zły humor, a raczej wrócił jej zły humor, zatarty chwilowo podnieceniem z mroźnego powietrza i rozmową z Grzęskim, który ją śmieszył. Ale podniecenia tego nie mogło na długo starczyć. Od rana była przygnębiona jaknajfatalniej. Po wyjeździe męża zostały jej wszystkie kłopoty na głowie i walczyła z niemi jak umiała i mogła, ale to było ciężkie, że nie widziała sposobu wybrnięcia z nędzy.

W mieszkaniu służąca powitała ją słowami:

— Jest telegram.

Wrońska stanęła w progu jak wryta. Przez chwilę słowa wymówić nie mogła. W wyobraźni jej telegram łączył się nieodzownie z pojęciem nieszczęścia.

— Dawno przynieśli?

— Przed godziną. A i był tu jeszcze jakiś pan, mówił, że z banku i że drugi raz przyjdzie.

Drżącemi rękami Wrońska rozerwała kopertę. Służąca przysunęła się tuż do niej, wpatrując się w jej twarz z gorączkowem zaciekawieniem.

— Czy się panu co stało?

— Nie wtrącaj się, nie twoja rzecz — krzyknęła na nią opryskliwie.

Nie mogła zrozumieć telegramu. Był on zredagowany po polsku i wyrazy tak poprzekręcano w drodze, że właściwie trzeba było odgadywać dopiero sens z liter. „Lepsi lut sesia“ — sylabizowała Wrońska. — Czy on oszalał... Ale dalej już się wszystko tłomaczyło jasno.

„Lepszy łut szczęścia, niż funt rozumu. Przesłałem ci tysiąc rubli. Przyjeżdżaj.“

Wrońska osunęła się na krzesło i naraz wybuchnęła płaczem.

Służąca rzuciła się ku niej wystraszona.

— Proszę pani, co się stało?

— Nic, nic, nic...

Zawstydziła się swego wybuchu wobec służącej, przed którą nie mogła się przecież

przyznawać, że wiadomość o wygranej wywarła na nią takie wrażenie. Wnet potem rozległ się dzwonek. Wracał ów pan z banku, który już raz zachodził.

Wrońską tak rozbolała głowa, że o pójściu tego dnia na lekcye mowy już nawet być nie mogło...

CZĘŚĆ II.

ON czy nie on — myślał Wroński, uporczywie przypatrując się mężczyźnie, który siedział przy stoliku w głębi kawiarni. Był to wysoki, łysawy blondyn z małemi baczkami i wąsami, o twarzy zmęczonej i zniszczonej. W typie posiadał coś z obywatela ziemskiego i zarazem brukowego oszusta. Otóż Wrońskiemu zdawało się, że był to jego kolega szkolny z pierwszej klasy, niejaki Służewski. Było to zresztą bardzo prawdopodobne, gdyż ów Służewski mieszkał stale w Monte-Carlo i żył z gry. Opinję miał jaknajgorszą; na wyjezdnem z Warszawy przestrzegano przed nim Wrońskiego, mianowicie przestrzegał go Grzęski.

Ale zdanie warszawskiego przyjaciela nie miało już w tej chwili dla Wrońskiego najmniejszej wagi. Przeciwnie nawet, Wroński czuł, że on i Grzęski to dwa światy tak odmienne, iż jeśli Grzęski o czem źle mówił, to jemu, Wrońskiemu, poprostu musiało się to wydawać dobrem. Domniemany Służewski —

Wroński wahał się jeszcze, czy to on, podobał mu się z wyglądu. Był rasowy. A tego samego dnia właśnie przy śniadaniu podczas filozoficznej dygresji od miłych zresztą spraw życiowych Wroński doszedł do wniosku, że rasowość sama w sobie jest również cenną wartością jak nieposzlakowany charakter lub głęboka wiedza. Wroński siedział na zewnątrz kawiarni, ale ponieważ okno było szeroko otwarte, mógł dokładnie widzieć całą salę. Odwrócił się na krześle i przenikliwie wpatrywał w Służewskiego, który siedział pochylony nad gazetą. Wroński chciał go siłą wzroku zmusić do odwrócenia oczu, ale widocznie nie był w praktykach magicznych dość wyszkolony, gdyż Służewski nie zwracał na niego najmniejszej uwagi.

Był ciepły, rozleniwiający dzień. Widząc bezskuteczność swoich prób magnetyzerskich, Wroński odwrócił się i dopijał kawę, paląc kosztowne cygaro, które mu nie smakowało. Pośrodku werandy wznosiła się niewielka, sklecona z desek estrada, na której stało zakurzone, porysowane skazami pianino i parę krzeseł. Powoli zaczynali się schodzić muzykanci. Nizka, przysadzista bruneta z wyraźnie zaznaczonymi wąsikami i brodawką pod okiem, z wyrazem bezbrzeżnego znudzenia i apatyi na niedbale umalowanej twarzy, weszła powoli i usiadła ciężko na krzesełku obok estrady, ocierając pot z twarzy brudną koronkową

chusteczką. Za nią wpadł wysoki, przeraźliwie chudy młodzieniec, blondyn, o orlim nosie, jasnych oczach i bujnych włosach, które opadały mu splotami na gumowy kołnierzyk. Ubrany był w czarny smoking, miał olbrzymi brylant na palcu, ciężką złotą dewizkę wpoprzek białej kamizelki i garnitur perłowych spinek w postrzępionym gorsie od koszuli. Powitał brunetę pobłażliwem skinieniem głowy, służącemu podał z bolesnym uśmiechem rękę i powiódł po werandzie spojrzeniem pełnem pogardliwego wstrętu. Gdy się zebrali wszyscy, zgrupowali się dookoła estrady i przyciszonymi głosami wiedli rozmowę z minami ludzi oczekujących na wyniesienie trumny na pogrzebie... aż wreszcie szczęknęły struny nastrajanych skrzypiec, czarna dama zasiadła przy pianinie, chudy blondyn z widocznym pośpiechem dogryzał paznokieć u palca — i nagle hałaśliwy marsz buchnął w powietrze, tłumiąc na chwilę gwar rozmów.

Wroński wstał od stolika i wszedł do wnętrza kawiarni. Postanowił przypomnieć się Służewskiemu. Dokuczyła mu już samotność, w jakiej żył od paru dni, pragnął módz choć parę słów z kimkolwiek zamienić. Mieszkał jeszcze w Mentonie, gdyż pensyonat trzeba było na parę dni naprzód wymawiać... Wroński postanowił być oszczędnym w drobiazgach, jak każdy zamożny człowiek. Nie było to nawet postanowienie, ale raczej instynktowny

odruch. Całe dni spędzał jednak w Nizzy, gdyż towarzystwo pensyonatowe w Mentonie drażniło go.

— Pan Służewski? — odezwał się z uśmiechem, zbliżając się do swego dawnego kolegi.

Służewski spojrzał na niego z wyrazem lekkiego zdziwienia w oczach.

— Tak...

— Nie poznaje mię pan? — Wroński jestem.

Ale i nazwisko nie wiele widocznie powiedziało Służewskiemu.

— Kolegowaliśmy w pierwszej klasie...

— Prawda, prawda, pamiętam, ale się pan zmienił.

— Bo też to kawał czasu...

Służewski zaprosił Wrońskiego do swego stolika, ale wogóle dość chłodno witał dawnego kolegę. Wrońskiego uraziło to nawet trochę. Spostrzegł, że Służewski zmierzył go przelotnie badawczem spojrzeniem, — i oczywiście, oceniał go z ubrania... Wrońskiego to zawstydziło. Miał na sobie tani, źle skrojony warszawski garniturek, który jego samego do rozpaczy już doprowadzał... Ale na nowe ubrania, które sobie u pierwszorzędnych krawców pozamawiał, musiał czekać jeszcze. To go też poczęści skłoniło, aby domieszkać parę dni w Mentonie. Nie będąc przyzwoicie zaopatrzonym w garderobę, nie mógł się przenieść do eleganckiego hotelu.

— Pan tu dla kuracyi przyjechał? — dopytywał się Służewski.

— Nie — odparł Wroński.

I po chwili dorzucił:

— Tak przyjechałem, żeby się rozerwać trochę.

Wyciągnął z kieszeni złotą papierośnicę, którą nabył poprzedniego dnia zaraz po wyjściu z banku, w którym umieścił swoją wygranę, i podsunął ją Służewskiemu.

— Pali pan...

— Ho, ho, co za papierośnica — zauważył Służewski obojętnym tonem, ale z błyskiem ożywienia w oczach. Widziałem ją w oknie; to tu pan kupił...

Po papierośnicy znać było, niestety, że nowa.

— Tu — mruknął Wroński.

— Musiał się pan porządnie obłowić.

— Dlaczego?

— Skoro pan sobie takie prezenty robi.

— Nie jest to jeszcze taki wydatek, aby potrzeba było aż wygrywać — odparł niedbale Wroński. Zresztą, trudno wygrać, skoro się nie gra.

Służewski spojrzał na niego podejrzliwie.

— Rzeczywiście? Nie próbował pan szczęścia?

— Nie byłem nawet jeszcze w Monte-Carlo.

— Pojedziemy! — roześmiał się wesoło

Służewski. — Ja tu jestem jak u siebie w domu, a nawet zupełnie w domu, ponieważ tu stale mieszkam... Będę panu służył za przewodnika... Ale właściwie — dodał zaraz — pocóż my mówimy sobie: panie. Znamy się od dzieci przecież u dyabła.

Złota papierośnica wywarła wrażenie. Wroński tryumfował. Odrazu rozmowa się ożywiła, zaczęli wspominać szkolne czasy, po pięciu minutach byli już na stopie serdecznej prawie zażyłości.

— No, przyznaj się, wygrałeś? — zagadnął go znowu Służewski.

— Nie — czegóż bym się miał ostatecznie zapierać...

— Toś ty bogaty człowiek...

— Bogaty, nie bogaty... Dostałem niewielki spadek.

Wroński nie chciał się przed Służewskim do wygranej przyznać. Uważał, że spadek był w daleko lepszym tonie, niż wygrana. Nawprost stolika, przy którym siedzieli, wisiało wielkie lustro. Machinalnie, rozmawiając, przeglądał się raz po raz. Po ogoleniu brody i przystrzyżeniu wąsów i włosów zmienił się do niepoznania. Z zahukanego, zmizerowanego człowieczyny stał się przystojnym, eleganckim sportsmenem, o wytwornych, rasowych rysach twarzy. Właściwie teraz dopiero mógł sobie zdać sprawę z własnych rysów; doznawał wrażenia, jak człowiek, który by do

pewnego wieku chodził w masce i potem zdjął ją nagle.

— Nie patrz że tak wciąż w lustro — odezwał się Służewski.

Wroński poczerwieniał zmieszany. Służewski parsknął śmiechem.

— Prawda, ty już i w gimnazyum miałeś to przyzwyczajenie. Pamiętam, wciąż się przeglądałeś.

Wroński nie pamiętał, ale wdzięczny był Służewskiemu, gdyż to łagodziło odrazu sytuacyę. We wszystkiem, co ma z dziecinnemi wspomnieniami związek, jest jakiś serdeczny ton.

— Długo tu zabawisz?

— Z miesiąc, dwa...

— Tu się zabawić można... Rozkoszna dziura. Poznam cię z paru miłymi ludźmi.

— Za parę dni żona moja przyjedzie — wtrącił Wroński.

— Ach, to żonaty jesteś?

— Żonaty...

— No, to cię pani krótko weźmie.

— Eh, nie...

Wroński powiedział to z pełnym pewności siebie uśmiechem, ale równocześnie nieokreślone jakieś uczucie przewinęło mu się przez duszę. Ostatecznie tydzień z listem do Zośki można było zaczekać...

BEZGRANICZNE roztargnienie Wrońskiego oburzyło wreszcie Służewskiego, który podniecony szampanem (ma się rozumieć, płacił Wroński...) tłomaczył mu z przejęciem swój własny, niezawodny system gry w ruletę.

— Ależ uważaj...

— Ja uważam...

— Więc rozumiesz, na czem ta kombinacya polega?

— To jest, jakby ci powiedzieć, niezupełnie... Powtórz mi jeszcze raz...

Kombinacya była zawiła, tak, że i przy wytężonej nawet uwadze trudno ją było pojąć. Wroński zresztą nie miał najmniejszego zamiaru jej słuchać. Był to tylko wybieg z jego strony, aby zaprzątnąć uwagę Służewskiego. Sam wciąż wodził oczami za kobietami... Siedzieli w sali pierwszorzędnego baru. Wrońskiemu szampan zawrócił zlekka w głowie, rozmarzały go dźwięki muzyki, wszystko widział jakby przez lekką siną mgłę i ogarnęło

go niezwykłe, nieprzeżywane jeszcze nigdy dotychczas podniecenie.

— Człowieku, albo rozmawiamy, albo nie — wybuchnął znów Służewski.

— Ależ ja uważam...

— Myślałby kto, żeś nigdy w życiu kobiet nie widział...

— Nie wiesz, kto to są te dwie? — przerwał mu Wroński, wskazując na dwie młode strojne kobiety, które siedziały przy jednym z sąsiednich stolików.

— Któż ma być...

Aż nadto dobitne określenie nie podobało się Wrońskiemu.

— No kończ, kończ — mruknął. Ja się rozglądam, ale słucham uważnie. Napijemy się jeszcze szampana.

Takich kobiet Wroński nigdy w życiu jeszcze nie widział. Wiedział, że istnieje jakiś świat zabawy i zepsucia, ale było to dla niego czysto literackie pojęcie... Poczciwa zaniedbana Zośka strasznie mu się żałosną wydała w tej chwili. I odżałować nie mógł, że telegrafował po nią. Służewski, widząc, że przyjaciel nie zwracał najmniejszej uwagi na jego wywody, dał w końcu za wygranę i umilkł. Wroński, który oczu oderwać nie mógł od dwóch samotnych sąsiadek, zwrócił się znów do niego:

— Śliczne dziewczyny...

— Które?

— A te dwie...

— Ii — mruknął sceptycznie Służewski, nie patrząc nawet na nie...

— Jak ci się zdaje, można by się zapoznać z niemi? — odezwał się po chwili Wroński.

Służewski parsknął śmiechem.

— Oho... chcesz skorzystać z czasu, nim żona przyjedzie.

Wroński uśmiechnął się niewyraźnie. W tej chwili myśl o przyjeździe Zośki stawała się już dla niego zmorą. Był już prawie zakochany w jednej z dwóch tajemniczych sąsiadek, wysokiej, smukłej brunecie o oliwkowej, lewantyńskiej cerze. Przypatrywał jej się wyzywająco, uporczywie, chcąc zwrócić jej uwagę na siebie. Ale one tak były zajęte jakąś ożywioną rozmową, że na nic dookoła nie zwracały uwagi. Ta, która się tak podobała Wrońskiemu, mówiąc pochylała się ku towarzyszce z przedziwnie słodkim uśmiechem i głaskała jakimś pieszczotliwym, jakby bezwiednym ruchem obnażoną jej rękę.

Nazajutrz Wroński zbudził się dziwnie rześki i wypoczęty, mimo że spał bardzo krótko, gdyż rozstali się ze Służewskim o czwartej rano dopiero. Było już zapóźno, aby wracać do Mentony, i Wroński zanocował w Nizzy. Z łóżka sięgnął po zegarek, chcąc spojrzeć na godzinę, ale zapomniał go nakręcić poprzedniego wieczoru i zegarek stanął na wpół do szóstej. Pojęcia nie miał, czy było wcześnie,

czy późno, wnioskował jednak z tego uczucia rzeźkości, z jakiem się obudził, że musiało być już raczej późno. Dzień był pogodny, ściana jakiejś wielkiej kamienicy, którą Wroński widział z okna, bieliła się oślepiająco w słońcu. Jego okno wychodziło na cienistą stronę i w pokoju panował półmrok, wyzłocony zlekka odbiciem słońca.

Zerwał się z łóżka i narzuciwszy się paltem, uchylił okna i wyjrzał na ulicę. Owionęło go świeże, łagodne powietrze. Nad ranem deszcz padał i chodniki i dachy były jeszcze wilgotne. Przypomniało mu to nagle, że gdy szedł do hotelu, zerwał się wiatr i błysnęło parę razy. Ulica była równa, prosta, szczelnie zabudowana, w oddali gdzieś tylko widać było kawałek ogrodu i dwie smukłe palmy, które połyskiwały w słońcu mokrymi jeszcze od deszczu liśćmi. Biały, wielki dom, który Wroński widział z łóżka, był również hotelem. W otwartych oknach migały raz po raz sylwety pokojówek w czarnych sukniach i białych czepkach. Jedna z nich, młoda, przystojna dziewczyna wychyliła się z okna, rozglądając się po ulicy.

Wroński uśmiechnął się do niej, odpowiedziała mu pogardliwem skrzywieniem ust i cofnęła się w głąb pokoju. Z dalszych ulic płynął stłumiony, monotonny gwar, w który plątały się dźwięki jakiejś muzyki. Wroński stał przez chwilę zamyślony z bezwiednym

uśmiechem na ustach. Marzył o nieznajomej z restauracyi nocnej. Wiedział, że musi ją odnaleźć, jaknajprędzej, tego samego dnia jeszcze, choćby miał piekło i niebo poruszyć. Ale nagle obok tego rozkosznego obrazu zjawił się inny—Zośki. Wroński westchnął i zmarszczył posępnie brwi.

W tej chwili przyjazd żony krzyżował mu plany najzupełniej. Ale był to już fakt nieodwołalny. Wrońskiemu przyszło wprawdzie na myśl, czyby nie napisać serdecznego listu do Zośki, tłomacząc jej, żeby nie przyjeżdżała na Rivierę, że skoro wygrana jego miała być podstawą zmiany ich bytu, to należało oszczędzać, trudno mu było jednak przejąć się tą myślą; machnął beznadziejnie ręką...

— Przyjedzie, może już jedzie.

I nie mógł już odzyskać tego radosnego humoru, w jakim się przebudził. Ubierał się ociężale, śniadanie mu nie smakowało, wkońcu spostrzegł, że nie miał drobnych, żeby zostawić napiwek służącemu. Rachunek za numer i śniadanie zapłacił z góry w nocy, chodziło tylko o służącego. Żeby mu coś zostawić, musiałby sto franków zmienić.

— Ano, jak go spotkam, to mu każę zmienić — myślał, wyglądając przez uchylone drzwi na korytarz. I upatrzywszy odpowiednią chwilę, gdy nikogo w korytarzu nie było, wymknął się chyłkiem z hotelu.

Został na dzień w Nizzy i przez cały

czas prawie snuł się po mieście z utajoną nadzieją w duszy, że spotka gdzieś „ją“. Ale nadzieja go zawiodła i musiał zdać sobie sprawę, że tego rodzaju poszukiwania mogły się były przeciągać zbyt długo. Postanowił prosić o pomoc Służewskiego. Mógł to był już zrobić coprawda poprzedniej nocy, ale powstrzymywało go jakieś nieokreślone onieśmielenie. Nie był przyzwyczajony do „intryg“, czuł też, że z szukaniem sam nie da sobie rady. Postanowił zaraz się do Służewskiego wybrać. Wprawdzie z rozmowy odniósł był wrażenie, że Służewski nie życzył sobie, aby go odwiedzano w mieszkaniu; pytany o adres, odpowiedział Wrońskiemu wymijająco, ale tak się złożyło, że Wroński dowiedział się tego adresu przypadkowo. Mianowicie, podczas rozmowy Służewski wyjął machinalnie z kieszeni i położył na chwilę na stole adresowany do niego list i Wrońskiemu, który miał dobry wzrok, udało się adres przeczytać... 12, rue Pertinax... Wahał się tylko, czy wypadało wobec tego Służewskiego nachodzić.

— I, pójdę — zdecydował się wreszcie. — Rozstali się bardzo serdecznie i w przekonaniu Wrońskiego to go uwalniało od zbytnich skrupułów. Po dość długich poszukiwaniach znalazł wreszcie ulicę i dom. Była to wysoka, trzypiętrowa kamienica, obdrapana i brudna. Służewski w rozmowie wciąż mu wspominał

o „rozkosznej willi“; otóż dom ten na willę nie wyglądał bynajmniej. Mimo to Wroński zapuścił się do sieni. Minąwszy ją, znalazł się na małem, zaśmieconem podwórku, gdzie go owionął piwniczny, wilgotny chłód. Zadarłszy głowę do góry, miał wrażenie, że się znalazł na dnie studni.

— Musiałem się pomylić — myślał zły, gdyż wbił sobie w głowę, że Służewski udzieli mu doświadczonej wskazówki, jak się z nieznajomą zapoznać. Wyszedł przed dom i spostrzegłszy mały sklepik, którego drzwi sąsiadowały z sienią, tam postanowił zasięgnąć jeszcze informacyi. Jakoż dowiedział się, że Służewski mieszkał w kamienicy istotnie — na czwartem piętrze — po lewej stronie...

— Także willa — roześmiał się Wroński z rozczarowaniem, w którem był i niesmak i zjadliwa uciecha.

Ale ta rewelacya zbiła go nieco z tropu, nie wiedział, czy wogóle do Służewskiego zachodzić. Przypomniały mu się przestrogi Grzęskiego, które wobec tego że Służewski mieszkał na czwartem piętrze w jakiejś zakazanej kamienicy nabierały wagi.

— A nuż to naprawdę jakiś oszust — myślał — i będzie mnie próbował naciągać. Budziły się w nim instynkty przezorności. Służewski jednak był mu potrzebny i to rozstrzygnęło wahanie.

Schody były ciemne i brudne, powietrze

przesycone zapachem czosnku. Idąc na górę, Wroński odczuwał rodzaj złośliwej satysfakcyi. Służewski traktował go trochę protekcyonalnie i Wroński rad był, że nasuwała mu się sposobność upokorzenia przyjaciela.

— Ciekaw jestem, jaką minę zrobi, gdy się przekona, żem go przyłapał na bladze — śmiał się w duszy. Zatrzymał się wreszcie przed drzwiami, na których pod mosiężną tabliczką właściciela mieszkania bielił się przygwożdżony czterema pluskiewkami, zatłuszczony ale bardzo wytworny bilet wizytowy z napisem „Charles de Służewski, rentier“.

Zadzwonił.

Po dość długiem wyczekiwaniu usłyszał wreszcie w przedpokoju kroki. Otworzył mu drzwi siwy staruszek z czerwoną wstążeczką legii honorowej w klapie od tużurka. Na widok Wrońskiego uśmiechnął się przyjaźnie, ale gdy usłyszał nazwisko Służewskiego, wyraz twarzy zmienił mu się odrazu. Cofnął się opryskliwie i odchodząc, odwrócony już tyłem do Wrońskiego, niedbałym ruchem ręki wskazał mu boczne drzwi.

— Tam.

Wrońskiemu nie trudno było odgadnąć, że między Służewskim a właścicielem mieszkania musiało istnieć jakieś nieporozumienie.

— Pewno nie płaci — domyślał się — bo cóż innego mogło być zresztą przyczyną nieporozumień, i znów uczucie złośliwej uciechy

przewinęło mu się przez duszę. Nie było w niem jednak nizkiego zadowolenia z niedoli bliźniego, ale raczej pewnego rodzaju ulga. Protekcyonalny, pański ton Służewskiego imponował Wrońskiemu i w głębi duszy onieśmielał go zlekka. Stwierdzenie, że Służewski nie był bynajmniej takim panem, za jakiego się przedstawiał, pozwalało Wrońskiemu nietylko czuć się równym, ale nieskończenie wyższym od dawnego kolegi.

— Blagier bestya — uśmiechnął się, skręcając ku drzwiom.

Zapukał.

— Entrez...

Okiennice były nawpół przymknięte i w pokoju panował złotawy półmrok. Służewski leżał w łóżku. Na krzesełku obok łóżka stała niedopita szklanka herbaty, podłoga była zaśmiecona niedopałkami papierosów i szczątkami jakiegoś listu podartego na drobne kawałki. Wroński przystanął w progu. Służewski tak był pochłonięty czytaniem, że nie zwrócił na jego wejście uwagi.

— Jak się masz?

Na dźwięk głosu dopiero odwrócił gorączkowo gazetę i usiadł na łóżku, spoglądając na Wrońskiego z wyrazem niewypowiedzianego zdumienia w oczach.

— A ty jakim cudem tu trafiłeś?

— Trafiłem — odparł Wroński, uśmiechając się tajemniczo.

Służewski wyciągnął ku niemu z łóżka rękę. Nie wyglądał bynajmniej ani na zmieszanego ani na zawstydzonego; pod tym względem Wrońskiego spotkał najzupełniejszy zawód.

— Kto ci mój adres powiedział?

— Dowiedziałem się.

— Bez żartów mów, bo mi zależy na tem — przerwał mu z lekkiem zniecierpliwieniem w głosie Służewski.

Wroński musiał mu się przyznać, że podpatrzył adres na kopercie.

— Aa! — krzyknął Służewski, mrużąc z uśmiechem oczy. I dodał bez gniewu, raczej z akcentem złośliwego uznania.

— Chytry z ciebie człowiek.

— A ja sobie leżę — dodał po chwili — to doskonale robi na nerwy przeleżeć tak czasami cały dzień po ciemku. Zalecam ci to. Siadaj...

Wroński rozejrzał się dookoła. W pokoju były tylko dwa krzesła, jedno zastępowało nocny stolik, na drugiem leżały starannie porozkładane rzeczy.

— Przestaw tę szklankę na stół... tak — mówił Służewski, siadając na łóżku i drapując na sobie w fantastyczny sposób, kołdrę. Teraz możesz siadać... Ostrożnie bo tam jest wystający gwoździk, żebyś sobie ubrania nie podarł. Papierosa — krzyknął z uśmiechem — wyciągając usta, jakby do pocałunku.

Otworzył i zamknął z trzaskiem papierośnicę.

— Chcę cię częstować, a widzę, że ani jednego nie mam.

— Służę ci — odparł Wroński, podsuwając mu swą papierośnicę.

Służewski sięgnął po papierosa, obejrzał go nieufnie i zapalił z gestem tak widocznej rezygnacyi, że Wrońskiego obraziło to prawie. Postanowił odpłacić mu złośliwością.

— Więc to jest ta twoja willa... Przyz...

Urwał nie kończąc wyrazu. Obok lustra na kominku stały trzy fotografie kobiece w metalowych ramkach. W jednej z nich Wroński rozpoznał swoją tajemniczą nieznajomą z wczorajszego wieczoru...

OKAZAŁO się, niestety, że fotografia była pamiątką po poprzednim lokatorze, który zajmował pokój przed Słuszewskim i po którym wszelki ślad już dawno zaginął. W każdym razie niespodziewane i trochę romantyczne odkrycie fotografii miało tę dobrą stronę, że zatarło niemiłe wrażenie złośliwego przycinku, którym Wroński mógł był urazić dawnego kolegę. Drobny zaś złośliwy tryumf nie okupiłby mu korzyści, jakie mógł osiągnąć z przyjacielskiego stosunku ze Słuszewskim. Przekonał się o tem po pięciu minutach rozmowy, gdy Słuszewski, wysłuchawszy jego zwierzeń, przyrzekł mu i poparł to przyrzeczenie szlacheckiem słowem honoru, że tajemniczą piękność odnajdą, choćby mieli całe miasto do góry nogami przewrócić. Było to powiedziane spokojnie, ale stanowczo, i Wroński odniósł wrażenie, że Słuszewskiemu można wierzyć. Przedewszystkiem jednak ucieszyła go gotowość, z jaką Słuszewski zaofiarował mu się

z pomocą. Bo choć Wroński sam miał zamiar o nią go prosić, ale sformułowanie tej prośby nie układało mu się wyraźnie w mózgu i nie wiedział przedewszystkiem, jak Słuszewski przyjmie tego rodzaju sentymentalną propozycyę.

— Wstawaj! — zawołał ucieszony — zapraszam cię na wieczór.

Słuszewski uśmiechnął się tajemniczo.

— Z wielką rozkoszą korzystałbym z twego towarzystwa, ale, niestety, dziś nie mogę.

Wrońskiego, który chciał się bawić i wesoło wieczór spędzić, a nie miał z kim, odmowa ta szczerze zmartwiła.

— Czemu?

— Nie mogę.

— Zrób poświęcenie dla mnie.

Słuszewski potrząsnął przecząco głową, nie przestając się tajemniczo uśmiechać.

— Absolutnie nie mogę. Czekam na kogoś...

— Może ci przeszkadzam w takim razie?

— Znamy się tak dawno, że nie potrzebuję się z tobą w ceremonie bawić. Przyznam ci się, że wolałbym, aby cię ta osoba tu nie zastała. Która to godzina?

Wroński sięgnął po zegarek.

— Piąta.

— Śliczny masz zegarek — zauważył Słuszewski.

— Pamiątkowy — odparł Wroński nie-

dbale, podając przyjacielowi zegarek do obejrzenia. Niewinne jego kłamstwo mogło mieć tym razem pozory prawdopodobieństwa, gdyż zegarek był istotnie stary. Wroński nabył go poprzedniego dnia u antykwaryusza i wogóle postanowił nadal już tylko u antykwaryuszy zaopatrywać się w biżuterye. „Okazye“ kosztowały taniej, ale Wrońskiemu nietyle już o sam wydatek na razie chodziło, co o pozory dawnej, rodzinnej zamożności.

Umówili się na godzinę czwartą po południu następnego dnia i Słuszewski przyrzekł Wrońskiemu, że już mu jakąś wiadomość o jego pięknej brunecie przyniesie. Pożegnawszy kolegę, Wroński postanowił wrócić na noc do Mentony. Musiał się wreszcie w swoim pensyonaciku pokazać, aby uregulować rachunek i zabrać rzeczy. Ale spóźnił się na pociąg, a następny odchodził za trzy godziny dopiero. Wrońskiemu nie chciało się już trzech godzin w Nizzy czekać i pojechał automobilem.

W pensyonatowym przedsionku, który służył zarazem za wspólny salon dla gości spotkał Salcsteinów. Oboje podbiegli ku niemu z rozpromienionemi minami.

— Winszujemy, winszujemy!

— Czego? — odparł ze sztucznem zdumieniem, udając że nie rozumiał o co im chodziło.

— Jakto czego? Przecież pan milion wygrał.

— Tak jak pan, na pamięć — roześmiał się Wroński.

— Niech się pan nie zapiera. Ja od pana nie będę pożyczał pieniędzy. Właśnie dlatego, że gram na pamięć.

— I dziś pan grał?

— Grałem.

— I jakżeż?

— Źle... przeszło tysiąc franków przegrałem — mruknął Salcstein i gdy to mówił szczery cień smutku przewinął mu się po twarzy.

— Ale pan naprawdę dużo wygrał, zwrócił się zaraz z ożywieniem do Wrońskiego.

Wroński wzruszył ramionami.

— No, no... no...

— Kto państwu tę plotkę o milionach opowiedział?

— Tu już to wszyscy wiedzą... Ta ruda holenderka, panna Van Beer widziała pana jak pan wygrywał.

— Potroiło jej się w oczach w takim razie — odparł Wroński opryskliwie. Był zły, że nowina o jego wygranej przedostała się już do pensyonatu. Aby uniknąć rozmów i powinszowań kazał sobie podać obiad do swego pokoju na górze. Ale w samotności wyobrażał sobie wciąż co mówiono o nim przy wspólnym stole i to go drażniło. Na

domiar złego koło dziewiątej wieczorem przyniesiono mu jeszcze telegram od żony. W głębi duszy żywił utajoną nadzieję, że Zośka nie wybierze się odrazu w drogę. Liczył wiele na jej rozsądek i kobiecy zmysł praktyczności. W każdym razie nie sądził, aby wyjechała nie wiedząc dokładnie ile wygrali. Przedewszystkiem więc spodziewał się listu. Odpowiadając można było trochę skłamać i nie pozbawiając Zośki zresztą przyjemności wycieczki na Rivierę, która jej się słusznie i święcie należała, zwlec ten jej przyjazd na jakieś dwa, trzy tygodnie. Ale — albo Wroński żony nie znał, mimo, że już kilka lat ze sobą przeżyli i starali się wciąż o wytworzenie jedności duchowej, albo też Zośka w jednej chwili zmieniła się do niepoznania. Telegram był podany z drogi, z Wiednia.

Wrońskiego to rozgoryczyło.

— Nie przyszło jej na myśl, że przecież te tysiąc rubli, to mogło być wszystko, com wygrał — mruczał, mnąc telegram w ręce. Wobec tego, że przysłowiowa praktyczność Zośki okazywała się najfałszywszem złudzeniem, uczuł sam nagle potrzebę ściślejszego kontrolowania wydatków. Począł liczyć. Z wygranej sumy w ciągu paru dni wydał parę tysięcy franków. Większość tych pieniędzy poszła wprawdzie na bizuterye, więc nie były stracone. Nieraz rozmawiając o swoich kłopotach, Wrońscy wzdychali, że naprawdę bo-

gaci ludzie szczęśliwi są pod tym względem, iż mają zawsze coś do zastawienia w domu. Mimo to, uszczuplenie wygranej szczerze zmartwiło Wrońskiego. Pragnął, aby suma ta była nienaruszalną, wieczną, tak, jak się pragnie, aby czyjeś serce pozostawało wiecznie wiernem. W grę tu wchodziły nie liczby, ale sentyment i dlatego Wroński był zgnębiony.

Popsuło mu to na cały wieczór humor. Przełożył franki na ruble i skarb jego tak zmalał, że uczuł się nagle nieomal takim samym biedakiem, jakim był przed przyjazdem do Monte-Carlo. A najgorsze było to, że równocześnie stracił wiarę w możliwość ponownego wygrania. Pełen ponurych przeczuć położył się do łóżka i był tak zdenerwowany, że nie mógł zasnąć.

— Nie, dwa razy się nie udaje — mruczał, przewracając się z boku na bok.

Ale nazajutrz zbudził się dziwnie wypoczęty i świeży i odrazu wróciła mu fantazya. Postanowił raz jeszcze spróbować szczęścia. Marzył o tem, aby zaokrąglić swoją wygranę do sumy dwustu tysięcy franków i te pieniądze mieć nienaruszone, a pozatem wygrać jeszcze kilkanaście czy choćby kilka tysięcy na opłacenie pobytu na Rivierze. I dał sobie uroczyste słowo honoru, że jeżeli to mu się powiedzie, to już więcej grać pod żadnym pozorem nie będzie. W tym uroczystym charakterze postanowienia była jakby chęć skap-

towania sobie losu czystością zamiarów... Był cudny, słoneczny dzień, złote blaski migotały nad morzem, tworząc jakby kolumny z promieni, na których wspierało się ciche, rozniebieszczone niebo. Nowe, prawie że nieznane uczucie jakiejś spokojnej, pogodnej radości z życia budziło się w duszy Wrońskiego. Było mu lekko, swobodnie, wesoło i uważał to za pomyślną wróżbę.

Przed kasynem ujrzał Knoxa. Stary profesor gry poznał go odrazu i powitał przyjaznym uśmiechem. Wroński zbliżył się ku niemu, wyciągając na powitanie rękę.

— Tam pan idzie... — odezwał się Knox, wskazując oczami na kasyno.

— Tak...

— A z moich rad nie ciekaw by pan był skorzystać.

Wroński roześmiał się wesoło.

— Ja wierzę tylko w szczęście.

Machinalnie wyrwało mu się to powiedzenie z ust i w tej samej chwili zdjął go przesądny lęk, aby nie urzec szczęścia. Było to przelotne wrażenie, ale tak silne, że odbiło mu się na twarzy. A Knox, jakby odgadując je intuicyjnie, odezwał się z zagadkowym uśmieszkiem.

— Widzi pan, szczęście to piękna rzecz, ale tak łatwo je urzec...

Wroński wzruszył ramionami. Ten jeden moment rozmowy zwarzył mu najzupełniej

humor. Darować sobie nie mógł, że się zbliżył do Knoxa. — „Jakiś oszust, który się przyczepił sam do mnie w wagonie i dyabli mi kazali w rozmowy z nim się wdawać“ — wyrzucał sobie gorzko w duszy. Ale stał, trzymany jakąś nieokreśloną ciekawością, aby się jednak Knoxa o jego system przepytać. I wahał się. Bo równocześnie dręczyła go nowa obawa, że i taka rozmowa może urzec szczęście. Tworzyło się w ten sposób jakieś błędne koło denerwujących uczuć, z któremi nie umiał dać sobie rady. I samo to zjawisko duchowe było dla niego czemś zgoła nieoczekiwanem i niepojętem. Wogóle nigdy w życiu przesądnym nie był i raczej wyśmiewał się zawsze z wszelkich przesądów.

— Tak, panie — odezwał się Knox po chwili milczenia. — Jest rzecz pewniejsza i piękniejsza od szczęścia, to wiedza ludzka.

Wroński obrał ostatecznie pośrednią drogę, aby i ciekawości i przesądom stało się zadość. Zwrócił się do Knoxa z zapytaniem, ale wypowiedział je z akcentem lekceważącej ironii w głosie:

— A pański system bardzo jest zawikłany?

— Bardzo prosty — odparł z naciskiem Knox.

— A na czem polega?

Knox roześmiał się dobrodusznie.

— Nie sądzi pan chyba, żebym go panu

na ulicy w ciągu dwóch minut opowiedział. Ja go odkryłem po dziesięciu latach poważnej, matematycznej pracy, więc jeśli go panu w ciągu trzech godzin wyłożę, to i tak będzie prędko. Ma pan mój adres?

I wetknął Wrońskiemu nowy bilet wizytowy w rękę.

— System mój — ciągnął Knox, ożywiając się nagle, polega na matematycznej teoryi prawdopodobieństwa. Trzeba panu wiedzieć, że jestem matematykiem z zawodu — wtrącił, przytykając laskę do brody, na uniwersytecie zdobyłem nawet parę odznaczeń... Nazwałem moją teoryę „System 117“, ponieważ liczba 117 jest kluczem do kombinacyi matematycznych. To tylko mogę panu na razie powiedzieć.

— A czemuż pan sam nie gra?

Stary profesor cofnął się o krok w tył i spojrzał na Wrońskiego z wyrazem takiego bezgranicznego zdumienia w oczach, że Wrońskiego aż to zmieszało.

— Jakiż pan naiwny — wybuchnął nagle, parskając krótkim, szyderczym śmiechem. Czyż pan myśli, że oni by mnie do kasyna wpuścili. Powiem panu...

Rozejrzał się szybko dookoła i ciągnął zniżonym, tajemniczym głosem.

— Powiem panu, że oni by dużo za to dali, żeby mnie tu wogóle nie było. Czy pan wie, że ja tu parę razy miałem bardzo, bardzo

dziwne wypadki... Naprzykład, idę sobie na przechadzkę ścieżką nad morzem, a tu mi się skała z pod nóg obsuwa... Albo niedawno, przed paru miesiącami, w lecie, wybrałem się piechotą na przechadzkę w góry, tu jest niedaleko miejscowość, która się nazywa Laghet, prześliczny, stary klasztor... Lubię tam czasami w samotności pomyśleć... Więc, jak panu mówię, wybrałem się piechotą; wieczorem wracam, pusto... zmierzch, cisza, a tu naraz buch! ktoś gdzieś wypadkiem strzelił. I mnie wypadkiem kula świsnęła koło uszu. I wiele tego rodzaju wypadków mógłbym panu jeszcze przytoczyć...

— Więc niby zabić pana chcą? — odezwał się drwiąco Wroński, któremu cała ta opowieść wydała się już zbyt romantyczną.

Knox obraził się za tę uwagę. Wyprostował się i odparł ostro.

— Opowiadam panu fakty. A jeśli mi pan nie chce wierzyć, trudna rada. Przyzwoitsi ludzie mi wierzyli.

— Comme vous! — wybuchnął Wroński, ale na „śmie“ zabrakło mu odpowiedniego francuskiego wyrazu. I to powstrzymało jego wybuch. Po polsku byłby ostro zwymyślał Knoxa za tę niestosowną ocenę jego przyzwoitości, po francusku jednak musiał mówić powoli, namyślając się nad każdem zdaniem, co uniemożliwiało mu prawie gwałtowniejsze dyskusye.

Ale jeśli słowa go zawiodły, ton był aż nadto wyraźny, bo Knox odwrócił się odrazu, przerywając tem rozmowę, która się tak przyjacielsko zaczęła. Uszedłszy jednak parę kroków, obejrzał się raz jeszcze na Wrońskiego i krzyknął ze zjadliwym uśmiechem.

— Będziesz pan piechotą do siebie wracał!

— Oszust! — odparł mu Wroński, któremu na szczęście przypomniał się ten wyraz po francusku.

Knox zatrzymał się w wojowniczej pozycyi i pogroził Wrońskiemu laską. Ta jego bezczelność była tak nieoczekiwana, że Wroński stracił najzupełniej fantazyę. Zdjął go wstyd przed skandalem w biały dzień na publicznym placu. Zbył więc obelgę pogardliwem wzruszeniem ramion i pośpiesznie wbiegł do kasyna.

ALE też dureń ze mnie — wymyślał sobie z zapałem Wroński. Wszedł do kasyna na godzinę i zasiedział się do czwartej. Byłaby to słabość do darowania, gdyby był z parę tysięcy franków wygrał, tego dnia jednak los kpił sobie z niego najwyraźniej. Po sześciu godzinach gry zmęczony, zdenerwowany, głodny wstał od stołu z taką samą identycznie sumą pieniędzy, z jaką wszedł rano do kasyna. Zdarzały mu się w ciągu dnia momenty, w których miewał już po parę tysięcy franków przed sobą, ale nie mógł pieniędzy utrzymać. Rozgorączkowany unosił się, rzucał szalone stawki, ta sama jednak tajemnicza siła, która nie pozwalała mu wygrać, czuwała nad nim, gdy zaczynał przegrywać. I rezultaty wciąż się równoważyły. Było to tak denerwujące, że w końcu ogarnęła go głucha wściekłość. Miał ochotę rozbić ruletę. Kulturalny instynkt obawy przed wyrzuceniem za drzwi poskromił w nim te żywiołowe zapędy.

Automobil pędził skalistą drogą nad morzem. Wroński wiedział, że była to jedna z najpiękniejszych dróg na świecie, i czuł, że należało mu wyglądać i zachwycać się zachodem słońca. Ale odkładał to na kiedyindziej, gdyż na razie nie był bynajmniej do zachwytów estetycznych usposobiony. Zły był, że musiał kilkadziesiąt franków za automobil zapłacić, i powtarzał sobie z wyrzutem, że gdyby był o godzinę wcześniej z kasyna wyszedł, jak miał zamiar zresztą, przejazd do Nizzy kosztowałby go tylko parę franków.

— Ale też się zasiedziałem — mruknął po chwili z akcentem szczerego zdziwienia w głosie. I przyszło mu na myśl, że musiał mieć chyba w sobie gwałtowny popęd do gry. Było to najzupełniej niespodziewane odkrycie. Wogóle nigdy w życiu w nic nie grywał i był najświęciej przekonany, że gra go nie pociągała bynajmniej. Tak się zżył z tem przekonaniem, że trudno mu je było odrazu w jednej chwili zmienić. Coprawda, nie zagłębiał się zbytnio w subtelne analizy psychologiczne. Był tak zmęczony i głodny, że o niczem myśleć nie mógł. Zasiedziawszy się w kasynie, a nie chcąc zbytnio się spóźniać na umówione ze Słuszewskim spotkanie, nie zdążył już zjeść obiadu.

Słuszewski czekał na niego w Nizzy w modnym barze, w którym się zbierały znakomitości sportowe: bokserzy, awiatorzy, dżokeje,

bookmakerzy oraz cyganerya sportu: ludzie o nieokreślonych zadaniach życiowych, połączeni wspólnem umiłowaniem sprawności fizycznej. Gdy Wroński wszedł, usłużny kolega szkolny powitał go rozpromienionym uśmiechem.

— Podziękuj mi!

— Masz już jakie wiadomości? — odezwał się Wroński, ale nie tak entuzyastycznie, jakby się można było spodziewać. W tej chwili miał tylko jedno pragnienie, które górowało nad wszystkiemi najpiękniejszemi uczuciami: żeby coś zjeść jaknajprędzej.

Słuszewski roześmiał się tryumfująco.

— Wiadomości! Cóżeś ty myślał, że ja to będę na całe lata rozkładał! Za pół godziny przedstawię cię twojej czarodziejce. Mówiłem jej o tobie, krótko ale tak zachęcająco, że o niczem już nie myśli, tylko o tem, żeby cię poznać. Płacę za coctail i jedziemy.

— Dokąd?

— Do Monte-Carlo.

Wroński spojrzał na przyjaciela z przerażeniem.

— Człowieku, czekajżeż, niech ochłonę, ledwo przyjechałem.

— Niema czasu. W wagonie ochłoniesz. Mamy kwadrans do odejścia pociągu. Cóżeś ty taki osowiały?

— Ależ nie, przeciwnie, bardzo się cieszę i bardzo ci jestem wdzięczny.

— Nie znać jakoś tego po tobie.

Wrońskiemu wstyd się było przyznać, że cały dzień przesiedział w kasynie i że był poprostu głodny. Zresztą zależało mu na poznaniu urodziwej brunety. Musiał się pogodzić z myślą, że nie sądzonem mu było zjeść obiadu.

— To w Monte-Carlo mamy się spotkać?

— Tak. W Café de Paris.

— A gdzieżeś ty ją poznał?

— Masz szczęście, ponieważ los przyszedł nam z pomocą. Przypadkowo spotkałem ją dziś rano w pewnem znajomem towarzystwie na Promenadzie. I jak widzisz, nie zmarnowałem czasu. Będzie mi to kiedyś policzone na sądzie ostatecznym.

— Czy to Francuzka?

— Nie wiem. Sądząc z akcentu — nie. Tych szczegółów zresztą, jako to: nazwiska, narodowości, wyznania i t. d., najlepiej dowiesz się bezpośrednio od niej samej. Ja wiem tylko, że jest prześliczna, daleko piękniejsza niż na fotografii, miła i łatwa do zawierania nowych znajomości. Nad czem się tak zastanawiasz?

— Tak, coś mi na myśl przyszło — odparł Wroński z nieokreślonym uśmiechem. Przelotna uwaga Słuszewskiego, że miał szczęście, ponieważ los przyszedł mu z pomocą,

zasugestyonowała go mimowoli. I myślał, że może dlatego tak mu się nie wiodło w kasynie.

Słuszewski spojrzał na niego przenikliwie.

— Ale ty humoru dziś nie masz.

— Zmęczony trochę jestem.

— Zgrałeś się.

— Byłem rano w kasynie i grałem, alem się nie zgrał — odparł Wroński. Niepokoiły go tajemnicze kaprysy rulety i chciał pomówić o nich z doświadczonym człowiekiem, za jakiego uważał Słuszewskiego. Nie przyznał się tylko do tego, że jego zapasy ze szczęściem trwały okrągłe sześć godzin.

— Bywa i tak — odparł Słuszewski, wysłuchawszy opowiadania przyjaciela. — Przed paru laty znałem tu pewnego Niemca, który przyjechał grać. Przywiózł ze sobą coś pięć tysięcy marek, możesz to sobie w myśli przełożyć na franki. I jak ty dziś, tak on grał przez ośmnaście dni, z początku po parę godzin, potem całemi dniami przesiadywał w kasynie, przychodził rano i siedział do zamknięcia. I codzień powtarzała się ta sama historya. Zawsze z tem wychodził, z czem przyszedł. To może trochę zdenerwować, co?

— Zapewne — odparł Wroński żywo.

— I jemu też się to znudziło. Dziewiętnastego dnia się powiesił, a pieniądze zapisał jakiemuś towarzystwu opieki nad zwierzętami.

— Opowiadanie!

— Fakt. Sam go znałem. Jak się ruleta uweźmie — ciągnął melancholijnie Słuszewski — to rady niema. — No, jedziemy! — krzyknął zrywając się z miejsca.

— A nie wiesz skąd się jej fotografja tam u ciebie w pokoju wzięła? — dopytywał się Wroński.

— Pojęcia nie mam. Jedno ci tylko powiem: strzeż się jej.

— Dlaczego?

— Bo mam wrażenie, że to jest istota bardzo „perverse".

Po Wrońskim jakby prąd elektryczny przeleciał. „Gwiazda pół świata" na Rivierze i w dodatku bardzo „perverse". W jednej chwili jeść mu się odechciało.

— A możebyśmy automobilem pojechali? — odezwał się do Słuszewskiego. Nie cierpię tłuc się temi kolejami.

— Jak chcesz...

Słuszewski był nienaturalnie podniecony. Wroński spojrzał na niego podejrzliwie i lekceważąco. Przyszło mu na myśl, że może i Słuszewski zawrócił sobie piękną brunetą głowę i śmiesznem mu się wydało, że taki „nikt" może się chcieć mierzyć z nim — Wrońskim.

LEDWO weszli do „Café de Paris“, zjawiła się i piękna bruneta. W obcisłym kostyumie, który doskonale uwydatniał jej kształty smukłe a pięknie pozaokrąglane, wyglądała bardzo ponętnie. Podając Wrońskiemu na powitanie rękę, odezwała się z zagadkowym uśmiechem:

— Ja już pana z widzenia znam.

— Gdzie mnie pani widziała?

— Na promenadzie w Nizzy.

— I zapamiętała mię pani?

— Mam dobrą pamięć.

Po tym pięknym wstępie rozmowa poczęła utykać. Francuszczyzna Wrońskiego nie pozwalała mu się zapuszczać w zbyt skomplikowane zdania. Krępowała go przytem obecność Słuszewskiego, przed którym wstyd mu się było zdradzać z nieznajomością języka. Ograniczał się więc przeważnie do potakiwań i przeczeń, tak że ktoś obserwujący ich z boku a nieświadom tajników duszy ludzkiej, mógł

był odnieść złudne wrażenie, że go nowa znajomość rozczarowała. Oczywiście, byłoby to tylko bardzo złudne wrażenie. Wroński był rozentuzyazmowany. Parę głębokich spojrzeń panny Marty (okazało się, że pięknej cudzoziemce było na imię Marta) poruszyło mu nerwy, jak uderzenie prądu elektrycznego. Zapomniał nawet o głodzie. A jeśli się ten entuzyazm jego mało uzewnętrzniał, było to tylko winą paraliżującego wpływu Słuszewskiego.

Na szczęście, Słuszewski spostrzegł w sali kogoś znajomego i wstał od stolika, by się z nim przywitać.

— Nudny jest ten pański przyjaciel — odezwała się Marta.

— Trochę — odparł Wroński z dyskretnym uśmiechem. Ucieszyło go, że i Martę nużyło towarzystwo Słuszewskiego.

— Pan go dawno zna?

— Kiedyś kolegowaliśmy w szkołach, ale potem nie widzieliśmy się przez całe lata i spotkaliśmy się dopiero przed paru dniami w Nizzy.

— Ach tak...

Wrońskiego uderzył jakiś szczególny akcent, jakim Marta wypowiedziała te słowa. Nie miał czasu jednak zastanawiać się nad tem, gdyż przed wypowiedzeniem każdego zdania musiał je układać w myśli. Bez Słu-

szewskiego jednak czuł się śmielszym i rozmowa szła mu raźniej.

— Więc mnie pani zapamiętała?

— Tak bezczelnie pan mi się przyglądał.

— Pani nie jest Francuzką?

— Nie.

— A jakiej pani narodowości?

— Cóż panu może na tej wiadomości zależeć?

— Ciekaw jestem wszystkiego, co się pani dotyczy — odparł żywo Wroński i wykwintność tego zwrotu sprawiła mu żywe zadowolenie. Było to już prawie wyznanie. Marta roześmiała się wesoło.

— Zdaje mi się, że w tej ciekawości pańskiej narodowość moja odgrywa ostatnią rolę. Jestem Włoszka — dodała po chwili. Mówi pan po włosku?

— Niestety, ani słowa. Ale tego, że pani jest Włoszką, sam się domyślałem.

— Mam typ dość wybitny — prawda?

— Klasyczny.

— To dziwne, parę razy mi mówiono, że mam coś słowiańskiego w wyrazie oczu. Pan tego nie zauważa?

Wroński spojrzał na nią badawczo.

— Absolutnie nic. Musiał to pani ktoś mówić, co słowiańskiego typu nie znał wcale.

— Mówili mi to pańscy rodacy.

— Moi rodacy nie są nieomylni — roześmiał się Wroński. — Mimowoli odwrócił głowę

i spostrzegłszy, że Słuszewski żegnał się już ze swoim znajomym, pośpiesznie zwrócił się do Marty.

— Zgodzi się pani zjeść dziś z nami obiad?

Była to kwestya etykiety, nad którą zastanawiał się od początku rozmowy, nie umiejąc jej własnemi siłami rozstrzygnąć. Nie wiedział, czy wypadało w parę minut po zawarciu znajomości zapraszać kobietę na obiad. Ale Marta zgodziła się odrazu.

— Doskonale. Chodźmy nawet zaraz, bo jestem bardzo głodna.

— I ja — roześmiał się Wroński, spoglądając na nią ze szczerą wdzięcznością.

— Niech pan zawoła Słuszewskiego.

— Jak pani znakomicie nazwisko wymówiła. Niech pani jeszcze raz powtórzy.

Powtórzyła, przekręcając karykaturalnie dźwięki.

— Już nie tak, ale pierwszym razem powiedziała pani zupełnie po polsku — unosił się Wroński. To dziwne, żeby cudzoziemka tak potrafiła wymówić.

— Przesadza pan — odparła z lekkiem zniecierpliwieniem w głosie. — Po obiedzie zajdziemy do kasyna.

— Lubi pani grać?

— Lubię, ale tak nie mam szczęścia, że to ostudza zawsze mój zapał.

— A ja sądziłem przeciwnie, że pani stale szczęście służy.

— Czemu?

— Nie wiem, takie miałem wrażenie.

— Mylne.

Obiad zeszedł bardzo wesoło. Wroński, podniecony winem ożywił się, przestał zwracać na Słuszewskiego uwagę i rozmawiał po francusku tak płynnie, że aż go to samego wprawiało chwilami w podziw. Przy deserze, posunąwszy się mimowoli z krzesłem, dotknął nagle pod stołem kolanem kolana Marty. Spojrzała na niego z uśmiechem i jakimś tak rozemdlonym wyrazem oczu, że Wrońskiemu krew uderzyła do głowy. Słuszewski musiał to zauważyć, gdyż uśmiechnął się ironicznie. I nagle dość gwałtownie zerwał się z krzesła.

— No, skoro mamy iść do kasyna, to chodźmy. Późno już.

— Ale siedźmy — oponował Wroński, któremu tak rozkosznie było w tej pozycyi, że nie chciało mu się wstawać z miejsca. Miał już dość zresztą na ten dzień kasyna.

Ale Marta poparła Słuszewskiego.

— Chodźmy. Muszę wygrać mnóstwo pieniędzy.

PO drodze do kasyna Słuszewski przypomniał sobie nagle, że miał jeszcze jakąś nadzwyczaj ważną sprawę do załatwienia na mieście i niespodziewanie pożegnał Wrońskiego i Martę, obiecując za pół godziny powrócić i odszukać ich w salonach gry. Wroński o mało go nie uściskał z radości. I oczywiście wobec tak zmienionej sytuacyi przestał odrazu myśleć o kasynie. Po zachęcającym początku przy obiedzie pragnienia jego biegły raczej w kierunku jakiegoś zacisznego, romantycznego ustronia a nie zatłoczonych salonów gry.

— Chce pani iść do kasyna? — zwrócił się do Marty, ujmując ją zlekka pod rękę.

— A dokąd?

— Taki cudowny wieczór... Posiedźmy chwilę w ogrodzie.

— Ależ ja chcę grać...

— Będziemy jeszcze mieli mnóstwo czasu na grę. Niech pani to dla mnie zrobi — prosił

stłumionym głosem, coraz mocniej przytulając jej rękę do swego boku.

— Widzę, że pan jest sielankowo usposobiony.

— Rozmarzyło mię towarzystwo pani.

— Niebezpieczne pragnienie, może je pan okupić katarem.

— Dlaczego?

— Niech pan nie zapomina, że to zima.

— Przytulimy się do siebie i nie będzie nam zimno.

Wrońskiemu wyrwało się to zdanie w zapale z ust i sam przestraszył go się odrazu. Pierwszy raz w życiu znajdował się w towarzystwie „gwiazdy półświatka" i nie wiedział, jak daleko można było śmiałość wyrażeń posuwać. Marty jednak nie zgorszyły jego słowa. Roześmiała się wesoło.

— Widzę, że sielankowość usposobienia nie przeszkadza panu być człowiekiem czynu. I dlatego nie usiądziemy. Zresztą, niecierpię tego ogrodu.

— To chodźmy nad morze.

— Nie, nie, nie... nigdy w życiu — zaprotestowała gorączkowo.

— Dlaczego pani taka dla mnie niedobra?

— Przeciwnie, jeśli nie chcę iść, to tylko przez sympatyę dla pana. Morze mię denerwuje, staję się melancholijna, smutna, a przecież pan nie dlatego chciał mię poznać, żeby się nudzić w mem towarzystwie.

W tonie, jakim te ostatnie słowa wypowiedziała, drżał akcent melancholijnej ironji. I to zmieszało trochę Wrońskiego. Wydało mu się, że był to subtelny przycinek za jego zbyt żywiołowe zachowanie. Zależało mu zaś bardzo na tem, aby nie tracić w oczach Marty uroku wytworności. Umilkł nie znajdując odpowiedzi.

— Pani mię niesprawiedliwie ocenia — odezwał się wreszcie po chwili.

— Dlaczego?

— Skoro pani przypuszcza, że chcę się tylko bawić w jej towarzystwie.

— Wątpię, żeby pan chciał się nudzić ze mną.

— Nudzić bym się z panią nie potrafił — odparł patetycznym trochę tonem. Ale było to powiedziane szczerze. Budził się w nim słowiański sentyment.

— Zresztą, skoro panu tak na tem zależy — odezwała się niespodziewanie Marta, możemy posiedzieć chwilę w ogrodzie.

Ogród o tej porze był już prawie pusty zupełnie. Usiedli na kamiennej ławce, wtulonej w gąszcz drzew i przez chwilę siedzieli w milczeniu. Wrońskiego ogarnęło nieokreślone rozmarzenie. Wieczór był łagodny i ciepły, gdzieś zdaleka nadpływały tłumione dźwięki jakiejś orkiestry hotelowej, lampy elektryczne świeciły tajemniczo, jak księżyc i te różnorodne elementy piękna tworzyły razem tak pełen

poezyi nastrój, że Wroński nie odzywał się naumyślnie, aby nie płoszyć ciszy. Siedział zapatrzony przed siebie w fantastyczne kontury gór, które ledwo zarysowywały się w mroku wieczoru, usiane mnóstwem złotych punkcików świateł, tworzących jakby ogniste girlandy; tu i owdzie światła układały się w gigantyczne litery, przypominając lecącym w orle ślady oczom wodę Vichy czy czekoladę szwajcarską. Chwilami słychać było tajemniczy, groźny szum morza.

Piękno południowej nocy oddziaływało uszlachetniająco na Wrońskiego. W owej chwili jego zainteresowanie się Martą nie było już tylko brutalnym, zmysłowym popędem, chciał jakichciś tkliwych, serdecznych zwierzeń, cichych rozmów, które układają się w duszy, jak melodye muzyczne.

— Cudowny wieczór — odezwał się ledwo dosłyszalnym szeptem.

Marta nic mu nie odpowiedziała. Wroński wyciągnął rękę i objąwszy ją wpół, przytulił delikatnie do siebie. Nie opierała mu się.

— W pani ojczyźnie muszą być takie wieczory.

— Rozmaite bywają, czasami bardzo brzydkie.

Wyraźna ironia tych słów dotknęła go niemile. Przykro mu było, że najbliższa mu na ziemi istota (za taką uważał w tej chwili Martę) nie odczuła podniosłego stanu jego

duszy. Przez samozachowawczy instynkt rodzącego się uczucia, aby zatrzeć niemiłe przelotne wrażenie, wyciągnął i drugą rękę. Marta odsunęła się niecierpliwie.

— Nieznośny pan jest.

— Przepraszam — szepnął ze szczerą pokorą w głosie.

— Chodźmy do kasyna.

— Chwilę jeszcze — krzyknął, przytrzymując ją za rękę. Niech mi pani opowie, o czem pani myślała.

Marta uśmiechnęła się zagadkowo.

— Wątpię, żeby to pana zajęło. Moje myśli nie są wogóle ciekawe. Niech mi pan powie lepiej, jak grać. Pan ma szczęście, prawda?

— Mam — odparł Wroński z brawurą.

Zostało mu to wynagrodzone, bo Marta oparła się odrazu mocniej na jego ramieniu.

— Śpieszmy się, bo pański przyjaciel szuka już nas tam pewno wszędzie.

Słuszewskiego jednak w kasynie nie zastali. Marta pociągnęła Wrońskiego do jednego ze stołów.

— To jest mój stół. Przyniesie mi pan szczęście.

Podała dwudziestofrankówkę Wrońskiemu, polecając aby ją postawił na zero. W chwilę potem krupier zgarnął ją grabkami do kasy. Marta nie umiała ukryć smutnego rozczarowania, jakie odbiło się na jej twarzy.

— Nie mam szczęścia — odezwała się do Wrońskiego.

— Już to panią zraziło?

— Jestem przesądna.

Wroński uśmiechnął się mimowoli. W ten sam sposób wróżył sobie rano. Ostatecznie, ponieważ nic w ciągu dnia nie przegrał, mogło wyjść i na to, że się wróżba sprawdziła.

— Niech pani jeszcze zaryzykuje, razem zagramy.

— Nie, niech pan lepiej gra dla mnie, dobrze?

I nie czekając odpowiedzi Wrońskiego, wetknęła mu stufrankowy banknot w rękę.

— Mam to wszystko odrazu postawić?

— Jak pan chce, byle mi pan trzy tysiące franków wygrał. Muszę dziś stąd wynieść trzy tysiące franków.

— Ano, sprobujmy szczęścia — uśmiechnął się Wroński.

I z fantazyą rzucił banknot na stół. Partya rozpoczęła się w tej samej chwili. Wroński z nerwowem naprężeniem śledził ruch gałki; chodziło mu o to, aby zaimponować Marcie swojem szczęściem. Był moment, w którym zdawało mu się, że już... już wygrywa... ze wzruszenia zabrakło mu tchu w piersiach, gałka jednak potoczyła się dalej. Krupier suchym urzędowym głosem obwieścił rezultat gry.

— Przegraliśmy — odezwała się Marta.

Powiedziała to z uśmiechem, ale była blada i w oczach jej świeciły jakieś zimne, niemiłe błyski.

— Chodźmy.

— Nie, nie — zaprotestował Wroński — w tem było ośmdziesiąt franków moich a pani dwadzieścia. Zaraz się odegramy.

— W takim razie niech pan gra sam. Ja posiedzę i poczekam na pana.

— Nie chce pani patrzeć.

— Znów bym panu urzekła szczęście.

— Mam nadzieję, że zdobędziemy te trzy tysiące franków.

Nie zanosiło się jednak na to. Zostawszy przy stole sam Wroński zaczął systematycznie przegrywać. Zmienił tysiącfrankowy banknot i po chwili musiał już drugi zmieniać. Ogarnęła go gorączka gry i zdenerwowanie, zapomniał prawie o Marcie. Z początku grał bardzo wysoko, wkrótce jednak, spostrzegłszy, że już miał tylko niecałe trzysta franków w kieszeni, począł zniżać stawki, grając coraz ostrożniej, ale przezorność ta nie osiągała zamierzonych rezultatów.

— No, jakżeż? — usłyszał nagle za sobą głos Marty.

Odwrócił się zgorączkowany.

— Przegrywa pan?

— Nie, nie, nie... Doskonale mi idzie. W tej chwili przyniosę pani trzy tysiące franków.

— Chodźmy, bo już póżno, muszę do Nizzy wracać. Wystarczy mi to, co pan do tej pory wygrał, za dwadzieścia minut pociąg odchodzi.

— Są przecież automobile. Niech pani wraca na kanapę i spokojnie poczeka. Obiecałem pani, że wygram trzy tysiące i muszę dotrzymać słowa.

— Daję panu jeszcze kwadrans czasu... bo nudno mi czekać.

Było to powiedziane bardzo obiecującym tonem. Z uśmiechu Marty Wroński mógł się przekonać, że podobała jej się jego zawziętość. Odwróciwszy się do stołu, rzucił dwudziestofrankówkę na sukno. Ręka drżała mu trochę przytem. Było to już ostatnie dwadzieścia franków, jakie posiadał. Kłamał rozpaczliwie przed Martą, wstydząc jej się przyznać, że przegrał wszystko. W tej chwili dopiero przyszła mu do głowy refleksya, że należało poprostu dać Marcie trzy tysiące franków — miał je w kieszeni, gdy wchodzili do kasyna — albo przynajmniej zwrócić jej własne pieniądze; byłby to skromniejszy gest, ale bądź co bądź wchodzący jeszcze w zakres dżentelmeneryi. Były to jednak spóźnione refleksye, gdyż równocześnie przegrał ostatnie pięć franków. Nie miał już nawet za co powrócić do Mentony.

Został przy stole; machinalnym ruchem człowieka, którego zawiodły wszelkie nadzieje

doczesne, wzniósł oczy ku górze i wpatrywał się w piękny plafon na suficie, jakby wyczekując, że stanie się cud, jak w bajce, i stamtąd mu jeszcze jakieś pieniądze spadną. Bał się odejść od stołu, bo wiedział, że Marta podbiegłaby odrazu ku niemu. Przysłowiowe porównanie o zapadnięciu się pod ziemię, stało się w tej chwili dla niego bolesnem i przeraźliwie rzeczywistem pragnieniem. Jeden tylko jeszcze możliwy był ratunek: pożyczyć od Słuszewskiego pieniędzy i odegrać się... Ale czy Słuszewski był w sali?

Odwracając ostrożnie głowę, Wroński począł szukać oczami Marty. Chciał przemknąć się koło niej niepostrzeżenie i puścić się na poszukiwania Słuszewskiego po salonach. Mógł gdzieś być, skoro obiecywał do kasyna powrócić. Marty na kanapie pod ścianą nie było. Wroński spojrzał w drugą stronę i spostrzegł ją nagle w towarzystwie jakichciś dwóch mężczyzn, z którymi wiodła ożywioną rozmowę. Bardzo go to niemile dotknęło, choć na razie miało to tę dobrą stronę, że pozwalało mu niepostrzeżenie odejść od stołu.

— Byle tylko Słuszewskiego złapać — powtarzał rozpaczliwie w myśli, kręcąc się po salonach. — Niestety, tym razem Słuszewski nie dotrzymał danego słowa. Nie przyszedł. Wroński odczuł to, jak ciężką, osobistą obelgę, był śmiertelnie w duszy na przyjaciela obrażony. Ale gorsze to było, że absolutnie nie

umiał sobie wyobrazić swej rozmowy z Martą. I nagle przyszło mu na myśl, żeby poprostu uciec, a nazajutrz przesłać Marcie trzy tysiące franków, wymawiając się kłamstwem, że jej nie mógł znaleźć. Wobec tego, że rozmawiając z owymi jakimiś nieznajomymi, odeszła ze swego miejsca w drugi kąt sali, kłamstwo to mogło mieć nawet pewne pozory prawdopodobieństwa.

Powziąwszy ów plan, Wroński postanowił natychmiast go wykonać. Obejrzawszy się jeszcze raz przezornie dookoła, ruszył ku drzwiom. Ale w przedsionku spotkał się oko w oko z Martą.

— Gdzie się pan podziewał? — krzyknęła wesoło, podbiegając ku niemu. — Szukam pana wszędzie.

— A i ja pani — odparł, czerwieniąc się po uszy.

— Nie widziała pani Słuszewskiego? — dodał szybko.

— Nie...

— Hm — mruknął ponuro. — Zdenerwowanie jego było aż zbyt widoczne i w oczach Marty odbiło się zaniepokojenie.

— Nie dopisało panu szczęście?

— I to jaknajfatalniej — odparł, spuszczając oczy ku ziemi.

— Przegrał pan?

— Wszystko.

Marta wybuchnęła nerwowym śmiechem.

Wroński spojrzał na nią z przykrem zdziwieniem. Gorszyło go to, że tak ją przejmowała niewielka ostatecznie strata.

— Nic pan niema? — odezwała się nagle z akcentem jakiejś brutalnej natarczywości w głosie.

— Nic — mruknął cicho. Ale w tej samej chwili wyprostował się z fantazyą. Nie było ostatecznie powodu do zmartwienia.

— Jutro się odegramy! — krzyknął wesoło.

Marta jednak dość zimno przyjęła to jego entuzyastyczne zapewnienie. Chwilę stała ze zmarszczonemi brwiami, jakby namyślając się nad czemś, i nagle odezwała się krótko, rozkazującym tonem:

— Chodźmy, odwiezie mię pan do Nizzy.

Wroński spojrzał na nią z przerażeniem.

— Odprowadzę panią na stacyę — zaczął, poszukując gorączkowo w myśli jakiegoś wykrętu, ale Marta przerwała mu odrazu.

— Weźmiemy automobil.

— Ale...

— Co?

Marta, jakby przeczuwając, co chciał powiedzieć, zmierzyła go przeciągłem, pogardliwem spojrzeniem. Wroński zawstydził się najokropniej swego zastrzeżenia. Nie był to odruch rasowej dżentelmeneryi.

— Cudownie — krzyknął, chcąc sztucznym entuzyazmem ratować sytuacyę. Będziemy mieli przepiękną przejażdżkę.

W rzeczywistości jednak perspektywa owej przepięknej przejażdżki nie nęciła go zbytnio i z chęcią byłby ją na razie zamienił na samotny powrót do domu. Był tak zdenerwowany i zgnębiony fatalnym wynikiem gry, że na nic nie miał chęci. Przez chwilę jechali w milczeniu. Nagle Marta wybuchnęła śmiechem. Był on może bardziej hałaśliwy, niż szczery.

— Jedziemy, jak za pogrzebem.

— To prawda — roześmiał się Wroński, naśladując jej ton.

— Dużo pan przegrał?

— Ależ, głupstwo. Nie sądzi pani chyba, że mnie przegrana martwi.

— Ale boję się, że pan mię o to posądza.

— Skądżeż.

— Bo dość wyraźnie okazałam panu swoje zdenerwowanie. Ładnego pan pojęcia o mnie nabierze. Sto franków przegrałam i scena! Niechżeż pan nie myśli, że naprawdę jestem taka chciwa. Byłam rozdrażniona z innego zupełnie powodu.

Ujęła go za rękę. I to dotknięcie miękkiej, pieszczotliwej dłoni zelektryzowało Wrońskiego. Znajdował się przecież w sytuacyi, jakiej wielu bliźnich mogło mu było pozazdrościć — u boku kobiety, o której marzył, której pragnął — ciemne wnętrze automobilu stwarzało przerozkoszne zacisze dla pieszczotliwych wy-

nurzeń, zaprawiając je nawet perwersyą „folie de la vitesse“ (co prawda, w skromnych rozmiarach automobilowej dorożki) i on, zamiast z tego korzystać, siedział ponury i nadęty, rozpaczając nad stratą trzech tysięcy franków. To przecież nie miało najmniejszego sensu. Gwałtownym ruchem chwycił nagle Martę wpół i przytulił ją do siebie. Było to tak niespodziewane, że aż krzyknęła przerażona. Wroński zamknął jej usta pocałunkiem.

— Jutro się odegramy — szepnął po chwili.

— Ach, nie mówmy już o grze...

— Kochasz mnie?

Wpijał się ustami w jej usta i całował aż do utraty tchu. Ale był to szał sztuczny. Dusza Wrońskiego pozostawała zimną. Czuł z jakiemś pełnem przykrego rozczarowania zdziwieniem, że każdej chwili mógł był wysiąść z automobilu i rozstać się z Martą bez żalu. Było to niepojęte. Po tylu dniach gorączkowej tęsknoty.

— Puść mię — szepnęła nagle Marta.

Wroński jeszcze mocniej przycisnął ją do siebie. Siłą woli i uścisku chciał wzbudzić w sobie te uczucia, jakich brakło mu w duszy. Bo jakżeż — po całym dniu, zmarnowanym w kasynie, tracić jeszcze przez „głupie nerwy“ taką rozkoszną chwilę! Ale dla Marty uścisk był zbyt namiętny.

— Duszę się — jęknęła nagle, odpychając go gwałtownie od siebie.

Puścił ją, ześlizgnęła mu się z kolan, usiadła na swem miejscu i po chwili mogło się było zdawać, że tak całą drogę przejechali.

W TO parne, dżdżyste popołudnie było w powietrzu coś rozleniwiającego i odurzającego zarazem, jak nieokreślony narkotyk. Przez wielkie okna o lustrzanych szybach, zasłoniętych do połowy firankami blado kawowego koloru, płynęło martwe, jednostajne światło, pod które podścielały się już pierwsze, niebieskawe smugi zmierzchu. Wyprostowywując się w głęboko wygiętym trzcinowym fotelu Wroński postrzegał przelotnie ponad linią firanek daleki pejzaż na horyzoncie. Łagodnie zaokrąglone, pokryte lasem wzgórze z białemi plamami willi, ponad które wystrzelały tu i owdzie wysokie, sztywne, czarne sylwety cyprysów. Na szybach po gwałtownej krótkiej ulewie, która przeleciała przed chwilą, świeciły jeszcze wielkie krople deszczu.

Wroński zeszedł do hotelowego hallu na herbatę. Od dwóch dni mieszkał w jednym z pierwszorzędnych hoteli w Monte-Carlo i czuł się jeszcze w tem nowem otoczeniu

trochę nieswojo. Służący krępy, muskularny blondyn o połyskliwej, różowawej cerze i wyłupiastych oczach, podkrążonych mocnemi, sinemi obwódkami, nakrył białym obrusem stolik i cicho, sprawnie rozstawiał błyszczące przybory.

Przy stolikach rozrzuconych po sali, siedziało kilkanaście osób. Wroński obserwował z pod oka jedną parę. Mężczyznę znał. Był to niemiec, kupiec z Hamburga, Adler, towarzyszyła mu jakaś młoda, bardzo przystojna i elegancka dama. Rozmawiali z ożywieniem, przyczem młoda dama raz po raz wybuchała gwałtownym śmiechem. Po bladych wargach Adlera przewijał się wówczas dyskretny, prawie niedostrzegalny półuśmiech. Niemiec siedział rozparty niedbale w fotelu, w jednej ręce trzymał filiżankę herbaty, drugą bawił się nerwowo monoklem w złotej oprawie. Raz po raz zakładał monokl w oko i przelotnem, bystrem spojrzeniem rozglądał się po sali. Był to olbrzymi mężczyzna, zupełnie łysy, z siwemi, gęstemi faworytami, które lgnęły mu do twarzy, jak dwa wałki waty. Oczy i usta miał prawie jednakowego koloru mętno-sine, pod oczami na twarzy sieć czerwonawych żyłeczek sklerozy.

W ruchach, w mowie, w zachowaniu Adler uosabiał typ teatralnego dyplomaty. Wroński zawarł z nim znajomość zaraz po sprowadzeniu się do hotelu i był pod urokiem

niemca, który mu imponował swoją dystynkcyą. Przyglądał mu się, starając się go naśladować w ruchach i obejściu. Ale na razie bardziej zaciekawiała go towarzyszka Adlera. Widział ją pierwszy raz w hotelu i bardzo mu się podobała.

Poszczególne odgłosy rozmów łączyły się w jeden przeciągły, przytłumiony gwar, który falował nad salą, raz po raz słychać było dzwonki elektryczne przy windzie, przy drzwiach wejściowych murzyn w czerwonej liberyi stał nieruchomy jak posąg, błyskając białymi zębami w wiecznym, jakby zastygłym na ustach uśmiechu.

Wroński spostrzegł, że towarzyszka Adlera obrzuciła go raz i drugi przelotnem spojrzeniem. Zelektryzowało go to. Wyprostował się w fotelu i przyglądał jej się coraz natarczywiej tak jednak, żeby Adler tego nie zauważył.

Odrazu przyszło mu na myśl, że musiała to być istota bardzo *perverse*. A wyraz ten posiadał dla niego magiczny urok. Postanowił prosić Adlera, aby go jej przedstawił. Miał przed sobą jeszcze parę dni wolnych, gdyż Zośka zasiadywała się w Wiedniu. Codziennie otrzymywał od niej telegramy z zawiadomieniem o opóźnieniu przyjazdu. Nie miał jej tego za złe.

Po chwili spojrzał na zegarek i przeciągnął się leniwie w fotelu. Dochodziła czwarta,

a na ten dzień i godzinę właśnie miał naznaczone spotkanie z Martą. Jak za pierwszym razem mieli się zejść w „Café de Paris“. Ale Wrońskiemu nie śpieszyło się jakoś do kawiarni. Nie dlatego, aby Marta miała przestać mu się podobać, przeciwnie myśl o niej budziła w nim słodkie dreszcze, obawiał się jednak, że miłosna schadzka znów zakończy się w kasynie, gdzie Marta będzie żądała, aby „wygrał“ dla niej trzy tysiące franków. Tego rodzaju namiętność do gry była zapewne „perwersyą“, ale właśnie taka perwersya najmniej się Wrońskiemu podobała.

Siedział więc niezdecydowany. Rozstali się bardzo czule i obiecująco, ale ponieważ następnie Wroński miał przykrą przeprawę z szoferem i musiał mu oddać w zastaw zegarek (szofer był na tyle bezczelny, że jeszcze przy świetle latarni automobilowej szukał próby na złotej kopercie), więc drobny ten realistyczny szczegół psuł poezyę wspomnienia. A najgorsze było to, że Wroński w szlachetnem uniesieniu dżentelmeneryi przyrzekł był Marcie, że wygra napewno te trzy tysiące franków i wręczy jej przy pierwszem spotkaniu. Dotrzymał słowa, bo grał, ale szczęście znów mu nie dopisało. A ponieważ powtarzało się to już trzeci raz z rzędu, więc zdjęła go ponura trwoga przed zmiennością fortuny.

— Mam jeszcze dziesięć minut czasu —

myślał, nie mając odwagi zdobyć się na stanowczą decyzyę.

Niebo rozjaśniało się powoli. Po drzewach, które pokrywały stok dalekiego wzgórza, przewinął się blask słońca drżącą, długą smugą, podobną do promienia latarni morskiej, zamigotały złote girlandy mimoz. Wroński siedział nieopodal kabiny telefonicznej i przez niedomknięte drzwi słyszał urywki rozmowy. Ktoś z nerwowem zniecierpliwieniem w głosie skandował cyfry, wykrzykując raz po raz „hallo“. W zagłębieniu korytarza, wychodzącego na hall, dwóch wyrostków w czerwonych kurtkach, popstrzonych złotymi guziczkami, przepychało się ze sobą z wybuchami tłumionego śmiechu. Z ulicy dały się nagle słyszeć krótkie i pośpieszne sygnały syreny automobilowej i wnet potem rzężenie motoru. Jakiś automobil zajeżdżał przed hotel.

Wroński spojrzał z zaciekawieniem i drgnął nagle. W oszklonym trójkącie amerykańskich drzwi mignęła znajoma mu sylweta małego, kościstego staruszka. Był to ów „pan baron“, z którym razem odbywali drogę omnibusem hotelowym z hotelu na stacyę po owej nocy, gdy Wroński zdobył swoją fortunę. Wroński robił się przesądny i to spotkanie napełniło go nieokreśloną trwogą. Z postacią barona łączył jakieś przeznaczenie, ale nie wiedział, czy złe czy dobre. Baron poznał go

od pierwszego wejrzenia i zbliżył się ku niemu z uśmiechem.

— Ach, to pan, poznaje mię pan?

— Ma się rozumieć.

— Wrócił pan na Rivierę?

— Ja tu stale przebywam, na pewien czas tylko wyjeżdżałem. Cieszę się bardzo, że pana spotykam.

To życzliwe zapewnienie usposobiło Wrońskiego trochę nieufnie. Zerknął podejrzliwie na staruszka, który nie zauważył tego jednak i ciągnął przyjacielskim tonem:

— Zaimponował mi pan.

— Czem? — zadziwił się Wroński.

— Swojem szczęściem.

— A czyż to od człowieka zależne?

— A czy wielki talent albo rozum zależne są od ludzi. Przychodzi się z tem na świat i koniec. We mnie wyjątkowe szczęście w grze budzi taki sam podziw jak piękny obraz, albo doskonały utwór muzyczny. Czuję w tem tajemnicę.

Wrońskiemu podobało się to rozumowanie. Uprzejmym gestem zaprosił barona do swego stolika. Ale staruszek potrząsnął przecząco głową.

— Dziękuję panu, nie mam czasu. Czekają tu na mnie na górze. Widziałem pana przed paru dniami w towarzystwie rodaków — ciągnął z uśmiechem, ściskając na pożegnanie dłoń Wrońskiego.

Wroński spojrzał na niego ze zdziwieniem.

— Mnie z kim...

— No z tym, jakżeż on się nazywa... Wasze nazwiska są takie trudne do wymówienia. Ze Słuszewskim i z jego żoną... Co się panu stało? — krzyknął nagle, spoglądając z przestrachem na Wrońskiego.

Można się było przestraszyć. Wrońskiemu krew zalała twarz, błędnym wzrokiem patrzał na barona, jakby nie rozumiejąc jego słów.

— Nic, nic, nic — wykrztusił wreszcie.

— Wszystko byłoby pięknie, gdyby nie ta fatalna pogoda — zagadywał baron, zrozumiawszy, iż popełnił jakąś niedyskrecyę.

Ale Wroński zapanował nad nerwami. Odezwał się ze sztucznym uśmiechem:

— Prawda, prawda... Byłem tu niegdyś razem z nimi na kolacyi. Mógł mnie pan widzieć. Słuszewska przystojna kobieta.

— Ładna, choć ja osobiście nie lubię tego typu kobiet. No, muszę uciekać.

— A Słuszewskiego dawno pan zna? — dopytywał się Wroński — przytrzymując staruszka za rękę.

Baron skrzywił się niewyraźnie.

— Dawno, ale obecnie nie utrzymujemy z sobą stosunków. — Panowie blizko żyją? — ciągnął baron, przyglądając się przenikliwie Wrońskiemu.

— Ależ nie — zaprotestował z oburzeniem Wroński. — Kiedyś, poznałem go przypadkowo przed laty, tu mię spotkał i przyczepił się odrazu.

— Widzę z pańskiego tonu, że pan niema co do niego złudzeń — uśmiechnął się baron porozumiewawczo. — To lepiej.

Niespodziewana nowina oszołomiła najzupełniej Wrońskiego. Po odejściu barona siedział przez kilka chwil nieruchomo z oczami utkwionemi w jeden punkt. I nagle zerwał się gwałtownie z krzesła.

— Utłukę jak psa — syknął przez zaciśnięte zęby.

Ale w tej samej chwili zbliżył się ku niemu Adler, który rozstał się już ze swoją towarzyszką. Wroński starał się zamaskować spokój, nie udało mu się to jednak. Adler spojrzał na niego zdziwiony.

— Zgrał się pan?

— Czemu?

— Taki pan wzruszony...

To odrazu uspokoiło Wrońskiego. Za największy wstyd uważał okazywanie jakiegokolwiek wzruszenia z powodu przegranej. Roześmiał się prawie wesoło.

— Tem bym się najmniej przejął. Co to za śliczna kobieta z którą pan rozmawiał? — zagadnął szybko, chcąc zmienić temat rozmowy.

— Pani Olliviero... Nie zna ich pan...

Bardzo mili ludzie... mieszkają w naszym hotelu.

— Hiszpanie?

— Argentyńczycy.

Wrońskiemu imponował egzotyzm i ucieszyło go to, że kobieta, która mu się tak podobała była aż Argentynką. Mniej mu się podobało, że miała męża, ale to było tylko przelotne, bez znaczenia uczucie. Zbudził się w nim odrazu awanturniczy animusz...

Pożegnawszy po chwili rozmowy Adlera Wroński wyszedł na miasto z zamiarem odszukania Słuszewskiego. Uzbroił się w grubą laskę, gdyż przyrzekł sobie święcie, że go obije. Podłość eks-przyjaciela doprowadziła go do takiej wściekłości, że tylko akt brutalnej doraźnej zemsty mógł go uspokoić.

Ale na zawołanie nie spotyka się ludzi, nad którymi chce się wywrzeć zemstę. Straciwszy cały wieczór na daremne poszukiwania Wroński wrócił do domu spokojniejszy, gdyż trochę jego wściekłości wyładowało się w samem szukaniu. Począł się nawet zastanawiać czy wogóle warto było bić tak nikczemną kreaturę.

Następnego dnia rano, gdy zeszedł na śniadanie do sali restauracyjnej, portyer podał mu bilet wizytowy. Wroński spojrzał i zbladł... Słuszewski... Nim zdążył powziąć jakąkolwiek decyzyę, Słuszewski sam się zjawił przed nim.

— Cóż ty wyprawiasz? — krzyknął tonem przyjacielskiego wyrzutu, wyciągając na powitanie obie ręce.

Wroński cofnął się i skrzyżował ręce na piersiach.

— Pan mi wiadomość od żony przynosi? — mruknął przez zaciśnięte zęby.

Słuszewski zbladł.

— Wiem wszystko — ciągnął dalej Wroński wyzywającym, obelżywym tonem (portyer stał tuż obok i patrzał niechętnie na Słuszewskiego)... Teraz się nie dziwię, skąd się ta fotografia wzięła u pana...

Przez tę krótką chwilę Słuszewski zdążył odzyskać spokój. Wzruszył ramionami i odezwał się łagodnym tonem:

— Robisz mi skandal przy portyerze, bo ci ktoś głupich plotek naopowiadał...

— Jakto plotek?

— Ma się rozumieć, że plotek... Przyznaję, że ta pani była moją żoną, ale od dwóch lat żyjemy w formalnej separacyi... Mogę ci przedstawić dokumenty.

WROŃSKI nie poznał żony. Ale zrozumiał dlaczego się tak zasiadywała w Wiedniu. W ciągu jednego tygodnia Zośka zmieniła się do niepoznania. Z zaniedbanej społeczniczki warszawskiej, żyjącej w pogardzie dla cielęcych i bezmyślnych podążań za wybrykami mody, stała się jedną z najszykowniejszych kobiet na Rivierze. Była to opinia Wrońskiego, powitalny komplement, płynący zresztą z serca. Być może, że szyk Zośki nie był w najlepszym gatunku, ale na pierwszy rzut oka wystarczał, i Wroński przekonał się z uczuciem ulgi, że nie będzie się potrzebował żony wstydzić. Bo w myślach miał wciąż jej warszawską sylwetę przed oczami i nękało go to, że ta poczciwa, zacna, inteligentna Zośka, strasznie będzie jednak raziła na tle wykwintnej i zepsutej Riviery. Ale kobieca intuicya żony sprawiła mu miłą niespodziankę. Modny, obcisły „tailleur“ Zośki, oblepiający ją jak kostyum kąpielowy, tak ponętnie uwydatniał jej kształty, że

wszyscy oglądali się za nią. Wrońskiemu sprawiało to żywe zadowolenie. Dumny, przeprowadził ją przez tłum na stacyi.

— Daleko mieszkamy? — dopytywała się Zośka.

— Tuż zaraz, o parę kroków.

— To bardzo elegancki hotel?

— Przyzwoity — odparł Wroński niedbale.

— Ale ja dotąd niewiem nawet jeszcze ileśmy wygrali?

— Nie tak wiele — westchnął Wroński.

— Ale ile?

— Koło sześćdziesięciu tysięcy franków.

— Ależ to my milionerzy jesteśmy! — krzyknęła tak głośno, że aż to zgorszyło Wrońskiego.

— Nie krzycz tak... tu pełno Polaków się kręci.

— No, to cóż z tego?

— Pocóż wszyscy mają odrazu wiedzieć, żeśmy wygrali.

— Ach, śmieszny jesteś. Cóż, tobie się zdaje, że tu chodzą i podsłuchują nas tylko.

— A ty dużo masz jeszcze z tego, com ci posłał? — przerwał jej mąż.

Zośka zawahała się chwilę z odpowiedzią.

— Prawie nic — odparła z akcentem lekkiego zawstydzenia w głosie.

— A gdzieżeś ty te pieniądze wydała?

— Droga, sprawunki. A zresztą — obu-

rzyła się nagle — cóżeś ty mi przysłał... Tysiąc rubli... I zaraz na wstępie chcesz, żebym ci rachunki zdawała, jak gdyby doprawdy było z czego... A tyś mało na siebie wydał?

Zośka zaczynała się już unosić, ale była w zbyt złotym humorze, aby módz wytrwać w gniewie. To też zaraz zmieniając ton, parsknęła śmiechem.

— Nie kłóćmy się na powitanie.

— To prawda.

— Wyglądasz wspaniale.

Wroński wyprostował się z dumą.

— Naprawdę?

— Jak lord.

— A i ty wyglądasz znakomicie. Wiesz, że trudno cię poznać. Ale Grzęski byłby zgorszony, gdyby cię zobaczył — roześmiał się nagle Wroński.

— Myślisz?

— Napewno. Taki filozof, jak on...

Wyraz „filozof" Wroński wymawiał z akcentem lekkiej pogardy. Zośka uśmiechnęła się nieznacznie. Po doświadczeniach warszawskich była przekonana, że Grzęski z chęcią by jej wybaczył ten pewien, trochę lekkomyślny szyk. Śmiać jej się chciało, gdy sobie przypomniała biednego Grzęskiego, który wyczekiwał na nią na ulicach i starał się być dowcipnym...

— Zośka! — jęknął nagle Wroński.

To, co ujrzał, było straszne. W wytwor-

nym przedsionku hotelowym leżał bagaż Zośki: wśród mnóstwa paczek i pudełek z wiedeńskich sklepów olbrzymi stary kosz od bielizny, obdrapany i brudny, okręcony jakiemiś posplatanemi na węzły postronkami. I na to wszystko patrzał portyer, uroczysty starzec o ministeryalnym wyglądzie, wobec którego Wroński, pomimo teoretycznego poczucia swej wyższości społecznej, czuł się dziwnie onieśmielonym. Nieruchoma maska twarzy hotelowego dygnitarza nie wyrażała ani podziwu, ani zgorszenia, ale Wroński wyczuwał poza tą fałszywą obojętnością bezmiar pogardy dla gościa z „takim“ koszem. Krew uderzyła mu do głowy i wyprzedzając żonę, rzucił się do windy, aby jaknajprędzej uciec od tego widoku. Na górze dopiero wybuchnął.

— Jakżeś ty mogła coś podobnego zrobić. Tysiąc rubli wydałaś prawie i żeby sobie przyzwoitej walizy nawet nie kupić! Ładnego pojęcia nabiorą o nas w hotelu!

— Ach, jakiżeś ty snob! — mruknęła pogardliwie Zośka, wzruszając ramionami.

W głębi duszy przyznawała mężowi słuszność. I ją ów kosz nieszczęsny zawstydził i pojąć nawet nie mogła, jak to się stało, że załatwiając tyle sprawunków przed wyjazdem i po drodze w Wiedniu, o tym szczególe zapomniała. Ale uważała, że jej własne wyrzuty sumienia wystarczały.

— Ładnego pojęcia o nas nabiorą — jęknął znów po chwili Wroński, wpatrując się płaczliwym wzrokiem w żonę.

To już Zośkę doprowadziło do pasyi. Rozczerwieniona, przysunęła się do męża z zaciśniętemi pięściami.

— Mój kochany, ja nie po to tu przyjechałam, żebyś mi na każdym kroku awantury wyprawiał!

Wroński westchnął i wzruszył ramionami. Był tak zgnębiony, że nie miał siły nerwowej na gorętsze przeprawy z żoną. Ale tej przeprawy łaknęła Zośka. Nie umiała tłumić w sobie gorętszych uczuć. Ująwszy się pod boki, stała przed mężem w wyzywającej pozycyi i mierzyła go wzrokiem z ironicznie pogardliwym uśmiechem.

— Jakiżeś ty głupi snob! — powtórzyła wyzywająco.

Wroński spojrzał na nią z bolesnym uśmiechem.

— Ledwoś przyjechała i od awantury zaczynamy — odezwał się znękanym głosem, chcąc ją roztkliwić i ułagodzić.

— Zdaje mi się, że nie ja ją zaczynałam.

— Bo pomyśl tylko... przecież to jest wspaniały, pierwszorzędny hotel... Sama arystokracya tu zajeżdża.

Ale ten przekonywujący argument wywarł wprost odmienny skutek, niż Wrońskiemu mogło się było zdawać. Zośka nie

dała mu dokończyć zdania i przerwała opryskliwie:

— Nie tylko; i tacy także głupcy, jak ty!

Był to już zbyt brutalny cios dla wydelikaconych nerwów Wrońskiego.

Zerwał się z krzesła, machnął beznadziejnie ręką i uciekł z pokoju.

PRĘDKO będziesz gotów?

— W tej chwili, w tej chwili...

Wroński kończy przed lustrem zawiązywać krawat, a zarazem rozkoszuje się własnym wyglądem. Jest to rozkosz podobna do tej, jaką niegdyś przeżywał nad źródłem Narcyz, a nawet poniekąd subtelniejsza, ile że Narcyz miał wszystko dane od natury, a Wroński piękny swój wygląd w znacznej mierze zawdzięcza samemu sobie. Gdyby miał krawat choć o jeden ton jaskrawszy, już by się to kłóciło z ubraniem i nie tworzyło tej pięknej, harmonijnie skończonej całości. Na to, aby się ubrać, każdy może znaleźć pieniądze, ale o to chodzi, aby się umieć ubrać.

Miłe estetyczne refleksye przerywa mu Zośka zniecierpliwionym, opryskliwym tonem:

— Skończ-żeż ty się raz guzdrać.

— Jestem — mruczy Wroński.

Uraziło go to „guzdrać“ i ton Zośki, który w nim wzbudza jakieś reminiscencye

ożywionych dyalogów na warszawskich podwórkach. Zresztą od paru dni jest pełen nowego kultu dla żony. Ze skruchą musiał wobec siebie samego przyznać, że Zośka była bądź co bądź niepospolitą kobietą. Przed jej przyjazdem bardziej może jeszcze niż skrępowania wolności, boć na to wybieg zawsze można znaleźć, obawiał się, że Zośka będzie trochę raziła w wielkoświatowem środowisku hotelu. Tyle miała drobnomieszczańskich nałogów i przesądów, które on sam nawet stopniowo przejmował... Trudno, gdy się z kimś stale żyje... Ale okazało się, że i w Zośce był to tylko wpływ otoczenia, że pod tym pokostem tkwiła rasa. Nietylko umiała odrazu wejść z pełną naturalnego wdzięku swobodą w nowe życie, ale stała się nawet przewodniczką męża. Przedewszystkiem, mówiła biegle po francusku i odrazu popoznawała się z jakiemiś paniami w hotelu; owe panie poprzedstawiały jej swych mężów, mężowie przyjaciół i kuzynów i Wroński z zupełnego osamotnienia, w jakiem żył, znalazł się nagle w wirze towarzyskiego życia.

W salonie hotelowym czekali na nich państwo Olliviero, południowi amerykanie, z którymi Wrońscy od paru dni tworzyli nierozłączną czwórkę. Między Olliviero a Wrońskim wytworzyła się sympatya na tle wzajemnej nieznajomości francuszczyzny. Ponieważ Olliviero mówił niewyraźnym hiszpańskim ak-

centem i co parę słów brakło mu wyrazu, więc Wroński nie potrzebował go się wstydzić. Zośka odnalazła z Olliviero jakąś wspólną przyjaciółkę, argentynkę, która studyowała niegdyś w Genewie i to zbliżyło je odrazu.

— Mamy dla was zaproszenie na jutro — powitała amerykanka Wrońskich. — Musicie nam przyrzec, że przyjdziecie.

— Ale dokąd?

— Na śniadanie do jednego bardzo miłego domu. Do Wasiljewa. Pan może go zna? — zwróciła się do Wrońskiego.

— Nie.

— Ale musiał pan słyszeć o nim?

— Słyszałem. On zdaje się jest bardzo znany na Rivierze?

— Wszyscy go znają. Zobaczycie co to za rozkoszny dom i za miły człowiek.

— Ale my go nie znamy.

— Nic nie szkodzi. My jesteśmy z nim w przyjaźni i powiedzieliśmy, że przyprowadzimy państwa. Przecież u was słowian to niema tych ceremonij. On mówił, że słowianie to są najserdeczniejsi ludzie na świecie. Cóż to pan taki smutny, nie wyspał się pan, czy pan zakochany? zwróciła się nagle do Wrońskiego.

— Zakochany.

— We mnie?

— Tak.

— Choć pan to żartem mówi, ale w tem

jest trochę prawdy — roześmiała się amerykanka. Ja myślę, że ten żartobliwy ton, to tak dla żony, żeby uśpić czujność. Niech mu pani nie wierzy. Przed przyjazdem pani wciąż mię prześladował... I tak czule mi się przyglądał, że już już sama nie wiedziałam... No chodźmy gdzie, bo tu nudno! — krzyknęła nagle, chwytając Zośkę pod rękę.

— A dokąd?

— Czy ja wiem, wymyślcie co...

— Na herbatę.

— Eh, już mi te tea-room'y obrzydły. Wiecznie jedno i to samo.

— Do kasyna — zaproponował Wroński.

— Już go do gry ciągnie.

— Nie, nie — zaprotestowała Wrońska.

Od przyjazdu żony Wroński nie grywał. Oczywiście zaraz po przyjeździe zaprowadził Zośkę do kasyna i spróbowała szczęścia, ale nie powiodło jej się i to ją odrazu zniechęciło do gry. I nie pozwalała grać mężowi. Odrazu ujęła ster rachunków w swoje ręce — wyznaczyła, co miało być na powrót do Warszawy, co na wydanie na Rivierze i ściśle trzymała się tego programu. Wroński przyznawał żonie słuszność i dawał się jej prowadzić, zresztą tak mieli całe dni powypełniane wycieczkami, rozrywkami, że nie tęsknił za kasynem.

— Więc dokąd pójdziemy? — dopytywała się Olliviero. Na herbatę nie, do kasyna nie. Pani nie chce stanowczo?

— Gorąco, duszno... Zresztą dziś niedziela.

— O to nie... Nienawidzę tej niedzielnej publiczności.

— I ja — podchwycił Wroński z akcentem szczerego obrzydzenia w głosie. Nie rozumiem nawet dlaczego oni w niedziele i święta nie zamykają kasyna zupełnie. Jeśli kto nie ma czasu na grę w dzień powszedni, to nie powinien grać wcale.

— No, przecież i tacy ludzie potrzebują rozrywek — próbował bronić klas upośledzonych Olliviero.

Ale Wroński był nieprzejednany.

— Gra jest dla ludzi niezależnych.

Po ustach Zośki przewinął się niedostrzegalny prawie uśmieszek. Wroński pojął jego znaczenie: „Za dwa tygodnie będziesz sam w biurze siedział.“ Zmierzył żonę wściekłem spojrzeniem, gdyż to odrazu przecięło mu humor. Zośka nieraz miewała takie niesmaczne pomysły: w chwili, gdy on był upojony i zapominał o szarzyźnie życia, jakimś jednym gestem czy uśmiechem strącała go z obłoków na ziemię. Wrońskiego nietylko to drażniło, ale i upokarzało. Wstyd mu było za żonę, za to, że jej złośliwości były tak drobnomieszczańskie.

— Więc dokąd idziemy?

— O tej porze trudno coś wymyśleć.

Wszyscy byli trochę ociężali, gdyż cała

noc poprzednia zeszła im na zabawie w jednej z nocnych restauracyj. Wroński zaciskał nerwowo usta, aby stłumić ziewanie, które go nagle napadło; twarz miał zmęczoną i niewyspaną.

Amerykanka spojrzała nagle na niego i uśmiechnęła się ironicznie.

— Ja sądziłam, że pan zamyślony a panu się poprostu spać chce.

— Ależ nie! — zaprzeczył żywo.

Zresztą jedno i drugie było prawdą. Wrońskiemu chciało się spać, ale był również zamyślony. Rozmarzało go wspomnienie jednej z tancerek restauracyjnych, czarnej, ognistej hiszpanki. Wprawdzie od przyjazdu żony pokusy niewiary przestały go nękać — boć, skoro Zośka wytrzymywała porównanie z innemi kobietami na Rivierze, nie było racyi narażać się na tak niemiłe rozczarowania jak z Martą. W każdym razie Wroński znacznie spokojniej wierność znosił, chwilami tylko nachodziły go nieokreślone uczucia, coś jakby dręczące wyrzuty sumienia, że zaniedbuje trochę tych rozkoszy, jakie mógł był z życia wyciągać.

Przy herbacie rozmowa się nie kleiła. Prócz płomiennej amerykanki nikt nie miał humoru, ale i jej temperament gasł przy zetknięciu z melancholijną wilgocią słowiańskich natur Wrońskich. W bezdusznej lalkowatości swojej amerykanka nie umiała odczuć, że przychodzą chwile, w których człowiek ma

dość szampana, tancerek, zabaw, śmiechu i zaczyna tęsknić do „czegoś lepszego“... Rozgniewało ją to w końcu.

— Cóż wyście tacy nudni dzisiaj? Ci co na nas patrzą, sądzą pewno, żeśmy się zgrali jaknajfatalniej i że obmyślamy zbiorowe samobójstwo. Co ci jest? — zwróciła się do Zośki.

— Zmęczona jestem — odparła leniwie Wrońska.

— Och, jacy wyście niewytrzymali. Jedna noc nieprzespana i już do niczego!... Idźcie spać my i tak musimy uciekać, bo mamy jeszcze wizytę do oddania. Więc jutro jedziemy razem do Wasiljewa.

— Dobrze!

Po odejściu amerykanów Wroński odetchnął z ulgą.

— Mili ludzie — odezwał się do żony, ale przyznam ci się, że dziś zmęczyło mię już trochę ich towarzystwo.

Wrońska nic mu na to nie odpowiedziała. Siedziała zamyślona ze zmarszczonymi brwiami. I nagle odezwała się gwałtownie.

— Wiesz, ja liczyłam w myśli, co myśmy ostatnimi dniami wydali. Strasznie dużo.

— Dużo?

— No policz.

— Nie, nie, nie — żachnął się niecierpliwie Wroński. W domu będziemy liczyli.

Ile razy była mowa o wydatkach, ogarniało go ciężkie, beznadziejne zniechęcenie.

Czuł się pokrzywdzonym przez los, wydziedziczonym. Zostało im kilkanaście tysięcy rubli, które miały być nietknięte. Tak postanowiła Zośka i Wroński przyznawał jej słuszność, ale tylko — rozumowo. Uczucie buntowało się w nim przeciwko takim mizernym ograniczeniom życia. A chwilami nie wiedział nawet czy i rozumowo te gospodarcze plany Zośki dadzą się uzasadnić. Przywiozą ze sobą kilkanaście tysięcy rubli do kraju i cóż z tego. Cóż to jest kilkanaście tysięcy rubli? Nic — nędza. Wroński marzył o wielkim majątku ziemskim. I najbardziej bolało go to, że marzenie jego tak łatwe było do urzeczywistnienia. Tylko — wygrać drugi raz jak już raz wygrał...

— Możemy w domu liczyć — podjęła znów po chwilowem zamyśleniu niemiły temat Zośka, ale to ci tylko powiem, że będziemy musieli przyśpieszyć powrót do Warszawy.

— Przecież za dwa tygodnie mamy wracać?

— Już nam na dwutygodniowy pobyt nie starczy.

— Ach moja droga!...

— Nie starczy. Wyliczyłam. A tamtych pieniędzy się nie naruszy!

— Możemy jeszcze coś wygrać.

— Albo przerznąć i tę resztę co mamy!

Znów wulgarny uliczny wyraz... Ale pominąwszy już przykrość estetyczną Wroński

wyczuł z tonu żony, że tego popołudnia do kasyna nie pójdzie. Brakło mu siły nerwowej na sprzeczki. Więc stłumił gorycz w sobie i tylko myślał że Zośka za grosz nie miała „perwersji“ i była dyablo mieszczańską istotą. Także trzeba było ironji losu żeby się właśnie z taką kobietą dozgonnymi ślubami połączył!

— Cóżeś taki smutny? — odezwała się po chwili Zośka.

— Nic. Myślę, że ostatecznie całe to życie ludzkie jest strasznie głupie — westchnął Wroński.

WASILJEW, do którego Wrońscy wybierali się na śniadanie, był właścicielem pięknej willi w Beaulieu. Wrońskiemu bardzo nowa ta znajomość imponowała, gdyż Wasiljew był osobistością znaną na Rivierze i Wroński często napotykał jego nazwisko w kronice towarzyskiej pism, które miał zwyczaj sumiennie studyować, gdyż rodzaj ten lektury, suchy napozór, otwierał przed nim dalekie marzeniowe perspektywy. Czytając wyliczenia utytułowanych nazwisk, Wroński wyobrażał sobie zawsze tę chwilę, w której i jego nazwisko miało wśród innych figurować, przyczem ozdabiał je w wyobraźni tytułem. Była to może śmiesznostka, ale tak niewinna, że Wroński wybaczał ją sobie pobłażliwie. O Wasiljewie nie wiedziano napewno, czy posiadał tytuł hrabiowski, czy nie, ponieważ pisma rozmaicie pomieszczały jego nazwisko. Od Słuszewskiego, który był zawołanym plotkarzem, Wroński zaraz po przyjeździe dowie-

dział się historyi Wasiljewa przypadkowo w rozmowie na temat szczęśliwych graczy, którym się udało porobić w kasynie majątki. Jednym z takich był Wasiljew. Przed trzema laty zjawił się pewnego razu w Monte-Carlo z kilkuset frankami w kieszeni, które z łaski kapryśnego losu miały się w szybkim czasie pomnożyć do setek tysięcy.

W ojczyźnie swej był podobno urzędnikiem pocztowym. Ciasno mu jednak było w dusznej atmosferze biura, a mając wciąż do czynienia z listami, które szły i przychodziły z najrozmaitszych zakątków ziemi, nabrał sam zamiłowania do dalekich egzotycznych podróży. Otóż podobno wprowadzenie tego zamiaru w czyn umożliwiły mu rządowe pieniądze. Była to pogłoska, która krążyła dość uporczywie, ale trzy, czy cztery lata, zwłaszcza gdy się w tym czasie uda wielki majątek zdobyć, wystarczają do zatarcia przykrych wspomnień przeszłości. Zdobywszy fortunę, Wasiljew rozpoczął życie na wielką stopę; kupił willę i począł urządzać wystawne przyjęcia, spraszając, kogo się dało. Chętni goście, prócz fizycznej rozkoszy znakomitej kuchni, mieli moralną przyjemność wyczytywania nazajutrz swych nazwisk w kronikach pism miejscowych, gdyż Wasiljew, znając potęgę prasy, dbał o to, aby nazwisko jego wciąż było drukowane. W ten sposób chciał przyzwyczaić towarzystwo rivierowe do swego

istnienia. Dotychczas jednak willa jego była jakby klubem międzynarodowych awanturników. W tym świecie Wasiljew zażywał wielkiego miru, gdyż był gospodarzem hojnym i prócz tego szczęśliwym graczem. Fortuna stale była na niego łaskawą, tak, że że mimo wydatków, Wasiljew z roku na rok stawał się bogatszym. Był to mężczyzna blisko czterdziestoletni, blondyn, z przystrzyżoną bródką, o ordynarnej powierzchowności, którą starał się zamaskować przesadną elegancyą stroju i obejścia. Poza tem starał się rozpuszczać o sobie plotkę, że był naturalnym synem bardzo wysoko postawionej osobistości.

Wroński jednak plotkom tym nie chciał wierzyć. Czuł sympatyę do Wasiljewa a zwłaszcza podobała mu się jego, jak ją nazywał, „koleżeńskość“. Wasiljew bez formalności, bez wstępnych wizyt zaprosił ich odrazu na śniadanie, i w tem czuć było dobroduszny, słowiański podkład. A zaproszenie było tem zaszczytniejsze, o czem Wroński nie wiedział, że w owym czasie Rosyanin począł już przebierać w towarzystwie, jakie do siebie spraszał i wycofywał się powoli z niektórych dawnych znajomości i przyjaźni. Stało się to pod wpływem stosunku, jaki udało mu się zawiązać i który uwieńczył jego marzenia, stosunku z prawdziwą księżną. Prawdziwa owa księżna Marya - Amelia - Józefina - Barbara - Joanna - Klotylda de Kerguarec ze starożytnej

bretońskiej rodziny, była osobą w podeszłym wieku i szpetną aż do tych granic, gdzie brzydota staje się już rasową oryginalnością.

Księżna żyła w odosobnieniu od rodziny, utrzymując się z niewielkiej renty, jaką jej wypłacano i pomnażając swoje dochody grą. Przez długie lata szczęście dopisywało jej stale, aż nagle przyszła serya „pechów" i potomkini bretońskiego rodu znalazłaby się w zgoła przykrej sytuacyi, gdyby jej los nie zesłał był w porę Wasiljewa, marzącego o towarzyskich koligacyach. Pomimo krążących o starej damie plotek, Wasiljew gotów był dać jej swoje nazwisko, księżna de Kerguarec, jednak nie spieszyła się z uświęceniem nielegalnego związku, gdyż wierzyła w swoje wypróbowane szczęście do gry. Stosunek ich trwał od paru tygodni i jeśli brakło mu szczerego uczuciowego napięcia, to wynagradzały to praktyczne obopólne korzyści. Księżna mogła przetrzymywać dłuższy fatalny okres kasynowych niepowodzeń, a Wasiljew, poza zadowoleniem miłości własnej, korzystał wiele z nieustannego obcowania z wykwintną damą.

Był to jakby wyższy kurs jego wielkoświatowego wykształcenia. Kurs ostateczny, po którego przebyciu mógł już zostać patentowanym członkiem towarzystwa. Tembardziej, że księżna de Kerguarec przejmowała się instynktownie swą wychowawczą rolą. Niepostrzeżenie objęła w swe ręce ster rzą-

dów w kawalerskiej willi Wasiljewa. I odrazu lista stałych gości, którzy Rosyanina odwiedzali, uległa silnej kontroli i licznym wykreśleniom. Wasiljew nie miał prawa z nikim zawiązywać stosunków bez aprobaty księżnej pani. Dzięki protekcyi przyjaciół z Argentyny, którzy z jakichciś nieznanych przyczyn cieszyli się specyalnemi względami księżnej de Kerguarec, Wrońscy zostali do zaszczytnego stosunku dopuszczeni bez trudu.

Kiedy automobil wiozący Wrońskich i Ollivierów zajechał przed willę Wasiljewa, stał już tam cały szereg pojazdów i samochodów, świadczący o licznem zebraniu. Wroński doznawał lekkiego nerwowego niepokoju przed tem swojem pierwszem wejściem w „wielki świat", a zwłaszcza nękała go perspektywa rozmów po francusku — ten najsłabszy punkt jego towarzyskiego życia — ale starał się zamaskować swoją tremę sztuczną nonszalancyą.

Willa Wasiljewa była rzeczywiście wielkopańską rezydencyą. Rosyanin nabył ją dzięki szczęśliwej okazyi za stosunkowo niewielką sumę od jakiegoś Włocha i na zewnątrz nie miał jeszcze czasu nic według swoich upodobań przerobić. Urządzenie wewnętrzne za to było już jego dziełem i najdoświadczeńszemu bywalcowi gabinetów restauracyjnych mogło zaimponować przepychem.

Po powitaniach i prezentacyach Amerykanka uprowadziła gdzieś Zośkę, mąż jej przy-

łączył się do jakiegoś towarzystwa męskiego, które otaczało zwartem kołem dwie młode i przystojne blondyny, i Wroński pozostał osamotniony. Stanął przy drzwiach i rozglądał się po dużym, zatłoczonym gośćmi salonie, zły w duszy na Zośkę i Ollivierów, że go pozostawili samego. Towarzystwo było przeważnie męskie. Niektórych z pośród zebranych dżentlemenów Wroński znał z widzenia, gdyż spotykał ich często w kasynie i w restauracyach. Chwytał czasami przelotne, zaciekawione spojrzenia i zaczynało mu być głupio w tem odosobnieniu przy drzwiach. Na szczęście służący zaanonsował śniadanie.

Wrońskiemu dostało się miejsce pomiędzy jakimś niskim, krępym bardzo czarnym młodzieńcem, wyglądającym z typu na południowca, Hiszpana czy Włocha i bardzo jasną blondyną. Czarny młodzieniec modnie ogolony i ucharakteryzowany na Amerykanina, jak zresztą większość zebranych przy stole mężczyzn, był awiatorem. Mówił po francusku z silnym cudzoziemskim akcentem i tak prędko i niewyraźnie, że Wroński połowy nawet nie rozumiał. Z tego co rozumiał jednak, łatwo mógł wywnioskować, że gdyby był nawet wszystko rozumiał dokładnie, nie na wiele by mu się to zdało, gdyż awiator mówił fachowo i technicznie, zapuszczając się w najsubtelniejsze zagadnienia budowy motorów. Przez grzeczność Wroński udawał zainteresowanie,

uśmiechał się i wtrącał od czasu do czasu jakieś potakujące „Oui“, albo pełne podziwu „Ach“. Ostatecznie awiator mógł przypuszczać, że ma przed sobą człowieka małomównego, ale śledzącego postępy lotnictwa. Unosząc się w zapale rozmowy mówił coraz szybciej, coraz namiętniej gestykulował i w tym potoku wymowy Wroński nie odróżniał już w końcu poszczególnych wyrazów. Udając, że słucha, nie mógł jeść i dwa razy z rzędu służba sprzątnęła z przed niego talerze, na których potrawy zostały prawie nietknięte. To się mniej Wrońskiemu podobało, gdyż był głodny a potrawy miały wygląd apetyczny.

— Mógłby mnie już przestać nudzić — pomyślał ze złością.

I jak w czarodziejskiej bajce życzenie jego odrazu się spełniło. Bo po nowym, pełnym głębokiego przeświadczenia potaknięciu Wrońskiego, awiator spojrzał na niego z widocznem zgorszeniem, i wzruszył ramionami. Wroński się spostrzegł, że w tem miejscu należało raczej zaprzeczyć, niż potakiwać. Powietrzny żeglarz świdrował go oczami z wyzywającym ironicznym uśmiechem.

— Jakżeż pan to uzasadni? — wycedził wreszcie.

— To uzasadnić trudno — mruknął Wroński.

— Rzeczywiście — roześmiał się Włoch tak impertynencko, że Wroński nie wiedział,

czy nie należało mu się obrazić. Tembardziej, że awiator nie starał się nietylko niestosownego tonu swego śmiechu załagodzić, ale z nietajonem lekceważeniem odwrócił się od Wrońskiego i rozpoczął rozmowę z drugim sąsiadem. Było to niegrzecznie, ale pozwalało na razie Wrońskiemu spokojnie coś zjeść i mógł wreszcie zwrócić uwagę na sąsiadkę, uduchowioną blondynę, która podobała mu się, ale był przez cały czas od początku śniadania tak zaabsorbowany przez Włocha, że ani słowa nie mógł z nią zamienić. Blondynka rozmawiała przez stół z poważnym starcem z długą siwą brodą, którego Wroński znał doskonale z widzenia i restauracyi. Był to, jak mu mówiono, zawołany szuler. Rozmowa toczyła się po niemiecku i to ucieszyło Wrońskiego, gdyż językiem tym władał znacznie swobodniej niż francuskim. Ale ledwo począł się jej przysłuchiwać, przekonał się odrazu, że temat znów był dla niego niedostępny.

Rozmawiano o boksie i znów specyalnym technicznym językiem. Wroński czuł się zupełnie wykolejonym w tem towarzystwie sportsmanów i wstyd mu było ponadto własnego obskurantyzmu. Z boticellowskich ust eterycznej blondynki raz po raz padały tajemnicze określenia: „swingi“ i „knockout'y“, widocznem było, że ją ten temat nietylko zajmuje, ale porywa i podnieca i Wroński nie mógł wyjść z podziwu, że istota o tak udu-

chowionych, anielskich nieomal pozorach, dla której jedyną odpowiednią sferą zdawało się był świat nieziemskich marzeń, do tego stopnia mogła się entuzyazmować sportem, który w jego swojskiem rozumieniu przedstawiał się bądź co bądź jako pospolite „walenie w mordę“. Ale bynajmniej nie był tem zgorszony, przeciwnie, zaostrzało to w nim niepozbawione niespokojnych dreszczów zaciekawienie do blondynki. W kontraście między jej powiewną urodą a krwiożerczymi instynktami wyczuwał tę tajemniczą i drażniącą go wciąż perwersyę, ku której tęsknił wszystkiemi siłami. Nie mogąc brać udziału wielkiego w rozmowie, przysłuchiwał jej się z zaciekawieniem, czekając, aby jakąś własną uwagę wtrącić. Wpadło mu w uszy nazwisko Mac-Sam-Wea. Murzyńskiego championa znał z fotografii, z jakiegoś sportowego tygodnika, który studyował kiedyś z nudów w kawiarni. Odezwał się entuzyastycznym tonem:

— Cóż to za wspaniały mężczyzna!

Blondyna podziękowała mu za ten okrzyk uśmiechem i powłóczystem spojrzeniem.

— Prawda...

— Zbudowany jak... Wroński zawahał się w wyborze porównania, na szczęście kultura klasyczna wyniesiona z gimnazyum, podsunęła mu określenie:

— Jak rzymski gladyator.

— Pan go może widział teraz w Paryżu? — dopytywała się blondyna.

— Widziałem — skłamał Wroński z impetem.

— I jego sposób walki podoba się panu?

— A, zachwycony nim jestem.

— Pan uprawia boks?

— Trochę — kłamał Wroński, instynktownie pragnąc się przypodobać sąsiadce. Ale w tej chwili siedzący dalej poza nią i również na Amerykanina ucharakteryzowany młodzieniec o zdrowej różowej cerze, z zaciekawieniem pochylił się ku niemu.

— My tu mamy klub... Dlaczego się pan do naszego klubu nie wpisze?

— Nie znam nikogo.

— Ja pana wprowadzę.

— Bardzo będę panu wdzięczny.

— Od jak dawna pan boks uprawia? — dopytywał się tamten, badawczo oglądając Wrońskiego.

Wroński nie spodziewał się, że jego słowa taki wywołają efekt i był trochę tem niespodziewanem zainteresowaniem zmieszany.

— A, od niedawna — odparł skromnie.

— Ma pan jutro czas? — ciągnął różowy młodzieniec, który jak to można było ze stanowczego tonu jego mowy i ruchów odgadnąć, reprezentował typ człowieka czynu, nie wahającego się nad postanowieniami.

— Niestety, jutro nie...

— Pojutrze?

— Ani pojutrze...

— We czwartek?

Bokser wpatrywał się we Wrońskiego zimnemi, rybiemi oczami i było poprostu coś niesamowitego w tem spojrzeniu. Wroński nie mógł jego wzroku wytrzymać, spuszczając oczy, odezwał się nieśmiałym tonem:

— Ani we czwartek niestety... mam te trzy dni zajęte.

— W piątek?

— W piątek mam — jęknął doprowadzony do rozpaczy tą stanowczością.

— Doskonale. W takim razie w piątek rano się spotkamy w naszym klubie. Mam nadzieję, że pan spotka godnych siebie przeciwników. A na pierwszy ogień sam mogę panu służyć. Zmierzymy się. Bardzo ciekaw jestem pańskiej szkoły.

— I ja — podchwyciła eteryczna blondyna.

I nie dając Wrońskiemu dojść do słowa, odpowiadała za niego.

— Doskonale. W piątek rano. Ja przyjdę się przyglądać.

Bokser zwrócił się już do kogoś innego. Miss Elsie (Wroński posłyszał, że ją tak nazywano) pochyliła się ku Wrońskiemu i ciągnęła przyciszonym głosem:

— Prawda, jaki miły, usłużny człowiek?

— Będzie on mnie widział — myślał cynicznie Wroński, ale nie mógł się powstrzymać od śmiechu na samo przypuszczenie walki swej z różowym sportsmanem, o muskularnej budowie atlety. Uprzedziło go to jednak odrazu i do uroczej, a zwłaszcza pociągającej go „perwersyą“ miss Elsie (która zresztą była Niemką, tylko pełną kultu dla angielszczyzny), czuł, że życzliwość jej można było zdobyć tylko pięściami i tego rodzaju zmodernizowany turniej rycerski bynajmniej mu się nie uśmiechał.

— Pani dawno na Rivierze? — odezwał się, chcąc zmienić monotonny już w swym entuzyazmie temat rozmowy, ale miss Elsie nie zdążyła mu odpowiedzieć, gdyż równocześnie awiator, pochylając się poza krzesłem Wrońskiego, zwrócił się do niej po angielsku z czemś zabawnem bardzo zapewne, gdyż zanglizowana Niemka parsknęła gwałtownym śmiechem. I zaczęli z ożywieniem rozmawiać, nie zwracając na Wrońskiego uwagi.

Wznowienie rozmowy po angielsku Wroński uważał za prowokacyę ze strony awiatora i postanowił w duszy niedarować mu tego, ale na razie siedział zły i znów osamotniony. Z nazwisk lotników, jakie wpadały mu w uszy, mógł się domyślać, że rozmowa toczyła się znów o awiacyi. Ze złości i dla dodania sobie humoru począł pić. Przy stole zapanowała ożywiona, hałaśliwa atmosfera restauracyjnego

gabinetu. Wroński wychylał kieliszek za kieliszkiem, ale odnosiło to wprost przeciwny skutek; zamiast zyskiwać na humorze, stawał się coraz bardziej ponurym i zgryźliwie usposobionym. Wodząc oczami po zebranem przy stole towarzystwie z lubością powtarzał w myśli, że wszyscy oni z uprzejmym gospodarzem na czele, byli ostatniej próby hołotą. I nagle go zdjęła tęsknota za Martą i za Słuszewskim. Ostatecznie jeśli Słuszewski naprawdę nie żył z żoną, to może to co zrobił było nietaktem, ale nie zbrodnią...

— Jutro się do niego wybiorę — postanowił nagle, wychylając duszkiem kieliszek wina.

Czyjąś ręką rzucona róża uderzyła go nagle w twarz i obudziła z zadumy. Cały stół parsknął śmiechem. Wroński zmieszany trochę tem, że wszyscy zwrócili na niego uwagę, spojrzał w stronę skąd padła róża i napotkał się z roześmianem, ale zresztą i mętnem już trochę spojrzeniem Ollivierowej.

— O czem pan tak myśli? Dlaczego pan taki smutny? Czy to może zazdrość? — krzyczała do niego z drugiego końca stołu podnieconym głosem Amerykanka. — Siedziała obok Zośki i w tej chwili dopiero Wroński zwrócił na żonę uwagę.

Zamyślony, nie uważał na to, co się dookoła niego działo, i nagle z niemiłem zdziwieniem spostrzegł, że różowy bokser, który

tak namiętnie pragnął się z nim zmierzyć na pięści, zmienił miejsce i przysiadł się do Zośki. Wiedli jakąś niesłychanie ożywioną rozmowę. Zrazu Wroński o to tylko się obawiał, aby żona nie zdradziła go przed bokserem, ale po chwilowej obserwacyi i sam sposób ich rozmowy zaczął mu się niepodobać. Zośka była zabardzo ożywiona, zanadto do Anglika się pochylała, oczy błyszczały jej nienaturalnem podnieceniem.

— Upiła się — myślał zgorszony Wroński. Pochylił się nad stołem i wyciągnął głowę, chcąc coś z ich rozmowy podsłuchać, ale było to niemożliwe, gdyż zbyt oddaleni siedzieli od siebie, a wszyscy już przy stole mówili podniesionymi głosami. Uporczywie wpatrywał się w żonę, jak gdyby chcąc ją zasuggestyonować do odwrócenia głowy, ale ona była tak rozmową przejęta, że nie odczuwała magnetycznego prądu jego spojrzeń. Śniadanie było skończone i znaczna część biesiadników popowstawała już od stołu, tworzyły się luki; awiator i eteryczna miss Elsie opuścili Wrońskiego i pozostał sam.

Do uczucia zazdrości, które go nurtowało, mieszała się jeszcze zawiść, że Zośka bawiła się wyśmienicie, a on siedział jak kołek znudzony i osamotniony nie umiejąc się do ogólnego wesołego tonu dostroić. Miał ochotę przysiąść się do żony i boksera, ale się obawiał, że rozmowa zeszłaby na boks odrazu.

I darować sobie nie mógł niewinnego kłamstwa, które go pozbawiło słusznego prawa kontroli nad ożywieniem żony. Nagle jednak przyszło mu na myśl, że takie wpatrywanie się w nią mogło zwrócić uwagę, nie chciał być śmiesznym. Wstał od stołu i przeszedł do sąsiedniego salonu, skąd doleciały go nagle dźwięki muzyki. Zaczynano tam tańczyć. Siwy starzec, który siedział nawprost Wrońskiego przy śniadaniu, walcował z miss Elsie. Niebawem parę innych par poczęło wirować. Wroński przyglądał się tańczącym, ale naumyślnie stanął we drzwiach tak, aby módz nieznacznie i żonę obserwować. W sali jadalnej zostało już parę osób zaledwie, między nimi Zośka i bokser, którzy tak byli sobą zajęci, że zdawało się, iż o całym świecie zapomnieli.

— To już jest poprostu nieprzyzwoite — oburzał się Wroński.

Nagle podbiegł ku niemu Wasiljew. Uprzejmy gospodarz był już trochę pijany. Chwytając Wrońskiego serdecznie wpół, pociągnął go za sobą.

— Chodź pan strzelać...

— Dokąd?

— Jakto dokąd? Do mojego *tir aux pigeons*. Pan nie wie, że ja mam *tir aux pigeons?*

— Nie wiedziałem.

— Mam, własne, dla siebie — roześmiał się tryumfująco Rosyanin. Jak mnie fantazya na co przyjdzie to wszystko muszę mieć. I to ja sam wymyśliłem, to mój wynalazek — dodał, ciągnąc Wrońskiego za sobą do ogrodu.

— Pan pewno znakomicie strzela?

— Przyznam się panu, że nie lubię do gołębi strzelać, żal mi biednych ptaków — odparł wymijająco Wroński. Wolał taką sentymentalną wymówkę, niż przyznanie się do absolutnej nieumiejętności strzelania.

Wasiljew parsknął radosnym śmiechem.

— Zobaczy pan, że panu nie będzie żal.

W głębi ogrodu, pod okalającym go murem stała niewielka drewniana szopa, przypominająca jarmarczne strzelnice. Był to *tir aux pigeons* Wasiljewa. Ma się rozumieć, strzelało się do gołębi sztucznych, które za naciśnieniem sprężyny, poruszającej odpowiedni mechanizm, wylatywały z ukrycia w jednej ścianie i po przeciągniętym w powietrzu drucie przesuwały się szybko ku drugiej. Mały Arab, we wschodnim stroju, pełnił obowiązki posługacza.

— A co? — zwrócił się Wasiljew do Wrońskiego z akcentem dumy w głosie.

Przy strzelnicy stało już kilku mężczyzn, stałych gości Wasiljewa, którzy w zamian za huczne obiady poddawali się łagodnie jego sportowym zachciankom.

Rosyanin wetknął Wrońskiemu strzelbę w rękę.

— Strzelaj pan.

— Zobaczycie jak on znakomicie strzela — zwrócił się do zebranych.

Huknął strzał i rozległ się szczęk stłuczonego gołębia. Jak to się stało, Wroński pojęcia nie miał. Zupełnie przypadkowo pociągnął za cyngiel, nim się zdążył zmierzyć. Ale efekt wywołał. Wasiljew spojrzał na niego z uznaniem.

— Brawo!

I znów podsunął mu nabitą strzelbę. Wroński wymówił się jednak od strzału, nie chcąc narażać na ryzyko swej przypadkowo zdobytej reputacyi celnego strzelca. Aby go zaś nie nagabywano o strzelanie wycofał się z towarzystwa. Wrócił do sali, gdzie tańczono. Oczami począł szukać miss Elsie, gdyż i jego zebrała nagle ochota do tańca. Popisanie się celnym strzałem przed Wasiljewem i jego przyjaciółmi, połechtało mu mile ambicyę i wróciło dobry humor. Miss Elsie nie było wśród tańczących i Wroński puścił się na jej poszukiwania w głąb mieszkania. Minąwszy dwa puste salony znalazł się na progu zacisznego obitego ciemną materyą buduaru, w którym panował dyskretny półmrok. Przestąpił próg i zatrzymał się jak wryty. Spostrzegł Zośkę w objęciach różowego boksera.

I ona go spostrzegła, tłumiony okrzyk wyrwał jej się z ust.

Sportsman obejrzał się flegmatycznie. Poznając Wrońskiego, który stał oszołomiony uśmiechnął się do niego porozumiewawczo i spokojnie zwrócił się do Zośki:

— To mój przyjaciel!... Z naszego klubu... On będzie dyskretny.

W PRZELOTNYM tym momencie Wroński przeżył wiele przykrych i skomplikowanych uczuć. Przedewszystkiem instynktownie chciał się rzucić na uwodziciela żony, ale świadomość, że różowy blondyn był bokserem, ostudziła w nim ten żywiołowy poryw.

Wyprostował się, zmierzył oboje pełnem piorunującej pogardy spojrzeniem i wyszedł z pokoju. W salonie napotkał miss Elsie. Powiewna amatorka boksu siedziała w towarzystwie nieodstępującego jej siwobrodego starca. Spostrzegłszy Wrońskiego, skinęła nań z przyjaznym uśmiechem głową, on udał jednak, że nie widzi jej gestu, szybko przesunął się wśród tańczących i wyszedł na dwór. Willa Wasiljewa stała nieopodal przystanku kolejowego. Posłyszawszy zdaleka świst lokomotywy, Wroński puścił się pędem na stacyę i udało mu się złapać pociąg do Nizzy.

Znalazł pusty przedział pierwszej klasy, wyciągnął się na kanapie i zamyślił — właści-

wie próbował skupić myśli, gdyż nieoczekiwane przejście tak go wzburzyło, że miał zupełny chaos w głowie. Był wściekły i wściekłość jego nie umiała znaleźć sobie zdecydowanego ujścia; zwracał ją to przeciwko żonie, to przeciwko bokserowi, to przeciwko sobie samemu, nazywając się podłym tchórzem i nie mogąc sobie darować, że nie poszedł za pierwszym popędem i nie spoliczkował uwodziciela. Nienawiść dawała mu jakieś niezwykłe poczucie siły fizycznej, miał wrażenie, że bokser, mimo wszelkie uczone kunszty, nie oparł by się jego furyi. Na jakimś przystanku gdzie pociąg zatrzymywał się minutę, miał nawet ochotę wysiąść z wagonu, wrócić do willi Wasiljewa i zadowolić swoją żądzę zemsty. Ale nie wysiadł, zdał sobie sprawę, że żywiołowy taki tryumf możliwy był tylko w jednym danym momencie i że ten moment już przeminął.

— Ale z Zośką skończone! — syknął przez zaciśnięte zęby. I znów nienawiść falą krwi zalała mu mózg. Do wściekłości i zazdrości, które go nurtowały, mieszało się jeszcze i uczucie żalu, że poddał się żonie najzupełniej po jej przyjeździe na Rivierę. Był jej wiernym, przestał grać, a ona — ładnie mu się odwdzięczyła!

Ogarnęło go nieomal roztkliwienie nad własnem, heroicznem poświęceniem, którego Zośka nie umiała ocenić ani odczuć. I to było

zbawienne dla jego duszy uczucie. Z mętnego chaosu wyłoniła się pierwsza jasna myśl. Postanowił zaraz po przyjeździe do Nizzy udać się do Marty i błagać o przebaczenie, czy też przebaczyć, bo właściwie nie wiedział dokładnie kto wobec kogo zawinił.

Nie uspokoiło go to zupełnie, ale dało już pewien punkt oparcia roztrzęsionym myślom. Wstał z kanapy i zbliżył się do okna. Pociąg biegł wzdłuż zatoki w Villefranche. U przystani białego miasteczka czernił się zwarty tłum ludzki, do wagonu dolatywały zdaleka dźwięki jakichciś orkiestr. Pośrodku zatoki stały szeregiem olbrzymie szaro-niebieskie pancerniki.

— Aha, eskadra przyjechała — pomyślał Wroński.

I z tą myślą wrócił z powrotem do rzeczywistości życia. Po napoleońsku w jednej chwili zoryentował się w sytuacyi. Zośkę odeśle do Warszawy, jutro zaraz każe jej się pakować — i jazda... skończone, bez gadania. Boksera... pal go dyabli, nie będzie się z hołotą wdawał... Zresztą cała wina po stronie Zośki...

— Ona, tylko ona winna — mruczał machinalnie półgłosem, gestykulując przytem żywo, jak gdyby się z kimś sprzeczał.

— Byle tylko Martę zaraz w domu złapać. Niecierpliwił go wolny chód pociągu,

kręcił się gorączkowo po przedziale, nie mogąc na miejscu usiedzieć. Wreszcie pociąg zajechał na stacyę. Wroński wsiadł w dorożkę i kazał się wieźć do Marty. W drodze zdjął go lekki niepokój, nie był zupełnie pewien dobrego przyjęcia, gdyż musiał przyznać się przed samym sobą, że jeśli Marta względem niego zawiniła, to i on w stosunku do niej nie zachował się po rycersku bynajmniej. Ale wierzył w jej dobroć i przekonywającą siłę swoich uczuć.

Niestety, nie zastał jej w domu. Na domiar złego powiedziano mu, że na parę dni wyjechała. Ta wiadomość wytrąciła go najzupełniej z równowagi. Chwilowy spokój, jaki udało mu się zdobyć, prysł odrazu, wściekłość, pogarda, wstyd za swoje tchórzostwo, znów wypełniły mu duszę. Przypuszczając możność spotkania boksera, kupił na wszelki wypadek rewolwer. Potem poszedł szukać Słuszewskiego, pełen szlachetnej pobłażliwości i szczerej chęci pojednania. Ale i wzgardzonego przyjaciela nigdzie nie mógł znaleźć. Osamotniony błąkał się przez cały wieczór po mieście, wreszcie ostatnim pociągiem wrócił do Monte-Carlo.

Postanowił odrazu sprawę z Zośką załatwić. Ale zbliżając się do hotelu, zwolnił kroku, jak gdyby chcąc w ostatniej chwili jeszcze zyskać na czasie. Nie umiał sobie tej ostatecznej, decydującej rozmowy wyo-

brazić. I lękał jej się trochę w głębi duszy. Był pewien, że nie obejdzie się bez łez, spazmów, krzyków. Ale się czuł upokorzonym, ośmieszonym i to budziło w nim zawziętość.

— Pani wróciła? — zwrócił się do portyera.

— Przed chwilą.

Wroński osłupiał. Rozumiałby, gdyby Zośka była już zupełnie od niego uciekła, albo też zaraz potem jak ją na gorącym uczynku przyłapał wróciła do domu i skruszona czekała wyroku — ale to „przed chwilą" zabrzmiało mu bardzo dziwnie. Gdzież mogła spędzać czas do dwunastej?

— A może gruchali sobie do tej pory najspokojniej — błysnęła mu jadowita myśl w głowie i aż przybladł ze wściekłości. Szybkim, stanowczym krokiem przebiegł korytarz i gwałtownie otworzył drzwi.

Zośka w nocnym negliżu siedziała przed lustrem oświetlonym dwiema elektrycznemi lampkami. Ujrzawszy męża, który w teatralnej trochę pozycyi zatrzymał się w progu, parsknęła głośnym śmiechem.

— Ataku histerycznego dostaje — pomyślał Wroński i przezornie zamknął za sobą podwójne drzwi, obawiając się aby nie posłyszano krzyku w sąsiednich numerach.

Ale śmiech Zośki brzmiał wesoło i nie chorobliwie. I to krzyżowało trochę Wroń-

skiemu szyki. Takiego cynizmu się nie spodziewał. Wreszcie syknął przez zaciśnięte zęby:

— Pani się śmieje...

Zośka podniosła się powoli z krzesła, sięgnęła po niewielki sakwojaż z żółtej skóry, który leżał na toalecie i nagle, nim Wroński zdążył zdać sobie sprawę z jej ruchów, istny deszcz banknotów i złota zamigotał mu przed oczami. Wszystko z brzękiem i szelestem sypało się na podłogę. Wytrzeszczył oczy osłupiony tym widokiem. I choć jaknajdalszy był od myśli rachowania tych pieniędzy, mimowoli musiał zdać sobie sprawę, że było ich dużo, dużo, kilkadziesiąt tysięcy conajmniej...

Ale zaraz wróciła mu przytomność umysłu i gniew.

— Co to znaczy? — odezwał się marszcząc groźnie brwi.

— To, to jest nasz majątek ziemski — śmiała się Zośka. — Wyobraź sobie, że to wszystko wygrałam dziś popołudniu. Możemy wracać do kraju. Jak tu drugi raz przyjedziemy, to już naprawdę będziemy państwem.

I zmieniając nagle ton ciągnęła łzawym, trochę zmieszanym głosem:

— Widzisz Wacek, nie gniewaj się... Ja sobie taki głupi przesąd w głowę wbiłam, że, no że jak się stanie to, co się stało, to wygram... I widzisz, sprawdziło się...

Podsunęła się ku Wrońskiemu i nagle prawdziwe łzy błysnęły jej w oczach. Była tak urocza i ponętna w tej skrusze, że Wroński nie mógł się dłużej wahać. Pochwycił żonę wpół i przytulił ją namiętnie do siebie. Jakiś nieznany, nowy dreszcz przeleciał mu po nerwach. Może to właśnie była owa tajemnicza, ku której tęsknił, „perwersya“?

KONIEC.